MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK X. Nr. 33. WARSZAWA, 17 SIERPNIA 1930 R. CENA NUMERU 80 GR.

*

* *

PAMIĘTNY sierpień roku 1920, jako młodzieńczy poryw patrjotyzmu polskiego, uratował naród od śmierci niechybnej i haniebnej. W jasnych płomieniach tego porywu znikły osoby tych, którzy w małości i pysze swej Polskę podówczas na krawędź katastrofy zawlekli. Naród, w ogromie swoim dobrotliwy, w żywej pamięci zachował i nadal zachowa bohaterstwo tego pokolenia, ale niechętnie wspomina ludzi, którzy go na klęskę narazili. I niewątpliwie ma słuszność. Tak zapadają w historji wyroki zapomnienia.

W poetyckiej skarbnicy narodu — w jego wyobraźni — wojna polsko-bolszewicka zaczyna się znagła od bezpośredniego najazdu wojsk rosyjskich na ziemie polskie. Jej istotny początek usuwa się z pamięci „opowieści gminnej" w mrok prahistorji. Zapomnienie symboliczne i w bezwiednym symbolu swoim prawdziwe. Czy tłem tej wojny nie są nieugaszone, od wieków tlące się zgliszcza na ziemiach, które między Polską a Rosją stanowią szeroki pas pogranicza? Na tem tle w ciągu roku 1919 trwało orężne z obu stron poszukiwanie linji granicznej pomiędzy narodami. Ten gospodarski zatarg o miedzę mógł był się skończyć korzystnym dla Polski pokojem, gdyby jej siłą zbrojną kierował rozum i dbałość o naród.

Z równie naiwną, a przedziwnie słuszną wolą zapomnienia odwraca się wyobraźnia narodu od niezdarnego prologu, którym złośliwy traf obarczył dramat najazdu bolszewickiego...: Niema, nie było wyprawy kijowskiej. Nie było odezw, orędzi, wjazdów triumfalnych i mniej triumfalnych wyjazdów. Jakiś tu obcy — nie polski, istotnie, lecz prusko-rusko-litewski—Chochoł zaplątał się na przedscenie dramatu z fałszywym swoim prologiem. Wicher dziejowy zmiótł tego wiechcia w chwili, gdy rozsunęła się zasłona, a zpoza niej zionęła na kraj krwawa i czarna czeluść potwora. W tej właśnie chwili naród wyłuskał berło rządzenia z chocholich raci przypadku i poszedł sam w śmiertelny bój o byt swój i o swój los.

Tu się zaczyna i zwycięstwem się kończy krótki i wzniosły rapsod narodowego eposu. Bez obcych wstępów, bez fałszów i zgrzytów, lecz i bez osób, bożym rozpędem, jak znagła poczuł się zagrożonym, tak znagła tchem huraganu potężny odpór dał najazdowi sam naród. Nie leży to w porządku rzeczy ludzkich, by kiedykolwiek, a już tembardziej w godzinie grozy wojennej naród gromadnie sam sobie rządem był i wodzem. Dlatego odpór, od Wisły dany, cudem się wydał opowieści gminnej i w tej światłości w pamięci narodu trwać będzie. I zapomniane zostały w tem ducha podniesieniu szkodliwe ręce niepowołane. Na dziw, doszczętnie zapomniane, popiołem szarym w niebyt rozwiane.

Jest wielkopański gest w tym braku bodaj gestu wzgardy dla czegoś, co jednak w małości swojej było. Jest w tem i sąd i wyrok najwyższy. Jakkolwiek przeto dzień bieżący, o każdy krok swój dbały, dziś jeszcze, w dziesięciolecie wielkiego zdarzenia musi i tem nieszczęsnem czemś, co jednak było, zająć się w przypomnieniu, górniejszy odeń bieg i czystszy zmysł ma niecodzienna w twórczości swej opowieść gminna. Wbrew apokryfom i historjom, naprzekór razom i urazom — ona ma słuszność.

ZDOBYTE DOŚWIADCZENIE

ROK 1920-ty i wojna polsko-bolszewicka nasuwają każdemu, kto głębiej zastanawia się na losami polityki odrodzonej Polski, szereg poważnych i niepokojących refleksyj. Obok świetnych zwycięstw militarnej natury, obok doskonałej postawy narodu w chwili groźnego niebezpieczeństwa, uderza w dziejach tej wojny rzadko spotykany brak ze strony czynników decydujących realnej oceny położenia politycznego i fantastyczność politycznych celów wojny.

Naród, znajdujący się, podobnie jak my, w trudnej pozycji geograficznej i mający potężnych nieprzyjaciół, nie może sobie pozwolić pod grozą niebezpiecznych następstw, na słabą politykę zagraniczną. Nie możemy powtarzać błędów dawnej Rzeczypospolitej, która od XVII wieku począwszy, w zakresie swojej polityki zagranicznej nie przejawiała żadnej oryginalnej twórczości i była prawie zawsze tylko narzędziem obcej racji stanu. Znalazłszy się, po wskrzeszeniu państwa polskiego, w zupełnie zmienionej sytuacji europejskiej, musimy zdobyć się na jej trafną ocenę i pokierować naszemi stosunkami z innemi narodami, zgodnie z wymaganiami naszego interesu, widzianego w nowem świetle rzeczywistości politycznej.

Dzieje wojny polsko-bolszewickiej są jaskrawem zaprzeczeniem tego postulatu. Duży odłam naszego społeczeństwa, a przedewszystkiem naczelne czynniki w państwie, zapatrywały się na polityczne cele wojny w wysokim stopniu powierzchownie, posługując się w ich ocenie oddawna nieużytecznym szablonem przebrzmiałych haseł i romantycznej tradycji.

Chcąc zapewnić sobie bezpieczeństwo ze strony Rosji, wysunięto na czoło zadań polityki polskiej kwestję wyzwolenia „ujarzmionej“ Białej-Rusi i Ukrainy, utworzenia na ich terenie niezależnych państw, oddzielających Polskę od Rosji.

Niefortunna koncepcja „państw buforowych“ odsłoniła całą płytkość ujęcia przez polskie czynniki decydujące tego kapitalnego zagadnienia, jakim jest dla nas stosunek do Rosji i powierzchowność oceny przez nie kwestji ukraińskiej.

Wielkie wojny z Rosją, prowadzone na przestrzeni kilku stuleci najpierw z carstwem moskiewskiem, a później z imperjum rosyjskiem, zajmują w naszych dziejach poczesne miejsce. Po rozbiorach przeistoczyły się one w powstania narodowe i pozostawiły po sobie w naszej świadomości zbiorowej niezatarte ślady ponurych wspomnień.

Wspomnienia te, żywione literaturą romantyczną, która w epoce popowstaniowej stała się namiastką myśli politycznej, przez długie lata ułatwiały suggerowanie Polakom różnych niedorzecznych sądów o polityce europejskiej i utrudniały im urobienie jasnego poglądu na rzeczywistość.

A rzeczywistość ta na początku XX wieku była już bardzo odmienna od tej, w której znajdowaliśmy się wtedy, kiedy Rosja po raz ostatni tłumiła powstanie narodowe i usiłowała raz na zawsze pogrzebać sprawę polską. Wielkie zmiany, jakie zaszły w położeniu Rosji, po klęsce Cuszymy i Mukdenu, pogłębiły się jeszcze bardziej naskutek wojny światowej i rewolucji, degradując Rosję do stanowiska mocarstwa azjatyckiego, mającego ograniczone interesy w Europie i pozycję obronną na swojej granicy zachodniej. Utraciwszy swoje prowincje zachodnie i północno-zachodnie, a przedewszystkiem wspólną granicę z Niemcami, decydującą o jej stanowisku wobec Polski, Rosja popadła na długie lata w trudności wewnętrzne, które w znacznym stopniu odbierają jej możność prowadzenia zaczepnej polityki zewnętrznej. Ponadto dziś, w okresie olbrzymiego przewrotu, jaki dokonywa się w Azji i rodzenia się tam nowych sił politycznych, z któremi poważnie liczyć się musi cały świat, Rosja, zajmująca znaczną część kontynentu azjatyckiego i sąsiadująca bezpośrednio z temi siłami, musi tam widzieć nietylko najdonioślejsze zadania pozytywne swojej polityki państwowej, ale i największe dla siebie niebezpieczeństwa.

Wobec tych olbrzymich i groźnych zagadnień, ewentualny spór o tę część ziem dawnego imperjum, które na wschodzie weszły w skład państwa polskiego, a które nie przedstawiają dla Rosji żadnej donioślejszej, gospodarczej czy politycznej wartości, spada do rzędu drugoplanowych zagadnień i trudno wystawić sobie taką przyszłość, w której wydzieranie tych ziem przedstawiałoby dla Rosji doniosły interes państwowy.

Wychodząc z tego założenia, polityka polska powinna była dążyć do ukończenia wojny bolszewickiej pokojem, któryby ustalał bezpośrednią granicę polsko-rosyjską i wcielał do naszego państwa terytorja na wschodzie, niezbędne dla naszego rozrostu i strategicznego bezpieczeństwa. Bezpośrednia granica z Rosją, tworząc z Polski państwo jednolite i zwarte wewnętrznie, posiada tę jeszcze właściwość, że daje możność skutecznego oddziaływania na politykę rosyjską, oraz gwarantuje dość znaczne bezpieczeństwo. Rosja bowiem, zwrócona frontem na wschód i zajęta trudnościami wewnętrznemi, dbać musi z konieczności o pokój na swojej granicy zachodniej. Ponieważ jakikolwiek atak Europy na Rosję nie da się, ze względów geograficznych, pomyśleć bez zgody Polski, z natury rzeczy otwierają się przed polityką naszą wielkie możliwości wpływów na terenie rosyjskim, które poświęcać dla „państw buforowych“ byłoby wielką lekkomyślnością.

Tymczasem Polska w roku 1920 nie zdobyła na właściwą ocenę nowego położenia Rosji. Wysunęła ona kwestję ukraińską na czoło zagadnień swojej polityki wschodniej i zagroziła Rosji śmiertelnem niebezpieczeństwem.

Trudno sobie wyobrazić taką sytuację, w którejby Rosja zgodziła się na oderwanie swoich prowincyj południowych. Dzięki nim posiada ona przecież żyzne ziemie ukraińskie i eksport zboża, dzięki nim posiada węgiel, żelazo i naftę, podstawę swojego przemysłu, fundament swojej pozycji militarnej. Utraciwszy te prowincje, Rosja staje się wyłącznie krajem konsumentów przemysłu europejskiego, skazanym na los państwa kolonjalnego, bez możności rozwoju ekonomicznego i samodzielnej polityki. Kwestja ukraińska, jako oręż w ręku polityki polskiej, wyklucza wszelką możność zgodnego pożycia z Rosją i rzuca ją automatycznie, w poszukiwaniu sojusznika, w ramiona polityki niemieckiej.

Usiłując stworzyć niepodległe państwo ukraińskie, Polska również działała przeciwko swoim bezpośrednim interesom.

Krótka bistorja sprawy ukraińskiej, jej geneza i źródło, jasno wskazują na to, jakiej polityki musiałaby się trzymać niepodległa Ukraina w stosunku do Polski. Będąc narzędziem polityki niemieckiej, Wielka Ukraina, na wzór Litwy kowieńskiej, zwróciłaby się przeciwko Polsce, zgłaszając pretensje do Wołynia, Chełmszczyzny, Podlasia i Małopolski Wschodniej. Pokój brzeski, który był próbą realizacji niemieckich planów na Ukrainie, najlepiej świadczy o tem, czego może spodziewać się Polska po rozwiązaniu kwestji ukraińskiej w duchu samodzielnej państwowości. Dziw bierze, iż mając w świeżej pamięci Brześć, obronę Lwowa, wojnę polsko-ukraińską, wreszcie zainicjowane przez prawicowe i lewicowe ugrupowania ukraińskie w roku 1920 porozumienie rosyjsko-ukraińskie na zasadach autonomji Zjednoczonej Ukrainy w ramach Federacji Rosyjskiej, decydujące czynniki polskie ryzykowały układ z Petlurą i wszelkie konsekwencje wojennej i politycznej natury, jakie z tego układu wypływały dla Polski.

Zasłaniano się wprawdzie groźnem niebezpieczeństwem komunistycznem, dążeniem bolszewików rosyjskich do rewolucji socjalnej, której wywołanie miało być głównym celem polityki czerwonej Moskwy. Powoływano się, innemi słowy, na przebrzmiałe już wtedy koncepcje mocarstw zachodnich „drutu kolczastego“ — i sądzono, że jedynem wyjściem z tych wszystkich trosk będzie odgrodzenie się od komunizmu rosyjskiego państwami kresowemi.

Ale komunizm jest zjawiskiem przejściowem. Ewoluuje on pod wpływem wymagań życia, wytwarzając powoli nowy ustrój i nowy porządek w Rosji, odbiegający od ewangelji Marksa. Władza komunistyczna w Rosji, pod wpływem realnych konieczności, szczególnie w miarę tego, jak nadzieje na rewolucję światową zawiodły, coraz bardziej musi się liczyć z interesami państwowości rosyjskiej, przynajmniej z temi interesami, które bez względu na formy ustroju i charakter rządu, stanowią istotę polityki rosyjskiej. Ustalając swój stosunek z Rosją na długie lata, należało dojrzeć właśnie te istotne tendecje państwowości rosyjskiej i nagiąć je do potrzeb polityki polskiej, szukając możliwych form zgodnego współżycia.

Doświadczenia kampanji ukraińskiej niebawem pouczyły, co są warte romantyczne plany urządzania się Polski na zasadach federacji wschodu Europejskiego. Ciężka klęska, kończąca się ostatnim wysiłkiem wypierania wroga z pod bram stolicy, zniszczenie 50 proc. obszaru państwowego, zalanego przez czerwone wojska, wreszcie pokój w Rydze dowiodły, że jedynym realnym, zgodnym z interesami narodu i dopasowanym do sił państwa polskiego projektem granicy wschodniej— i co za tem idzie podstaw polityki polsko-rosyjskiej — był projekt obozu narodowego, zdefinjowany w nocie naszej delegacji pokojowej w Paryżu z d. 3 września 1919 r. i znany powszechnie pod mianem „mapy Dmowskiego“.

Straciwszy przeszło 200.000 oficerów i żołnierzy, musieliśmy wrócić do tego jedynego punktu wyjścia, gdyż był on wyrazem realnego ustosunkowania sił i interesów obu państw, silniejszych niż wola kierowniczych osób i decydujących grup politycznych.

ZYGMUNT BEREZOWSKI

NA TROPACH FRAZESU

KAROL Irzykowski nie jest nacjonalistą i nie lubi nacjonalizmu. Mimo to zachodzi w jego postawie duchowej pewne podobieństwo z nacjonalizmem polskim. Kiedy byłem studentem, czytywałem z równym zapałem „klasyków“ polskiego nacjonalizmu, Popławskiego, Balickiego, Dmowskiego, Wasilewskiego, — jak i z drugiej strony Brzozowskiego i Irzykowskiego. I dziś, kiedy o tem myślę, to nie mogę zarzucić sobie, aby takie godzenie z sobą w jednej głowie obu pod tylu względami przeciwnych sobie grup pisarzy, odbywało się naskutek nielogiczności, „niepoprzebijanych ścianek w mózgu“ (jak się wyraził Irzykowski); owszem jest pewna między nimi zasadnicza wspólność: głęboki i niezmienny o b j e k t y w i z m — coprawda w odcieniach znaczeniowych rozmaitych.

Brzozowski wyrywa duszę z nieodpowiedzialnego, fikcyjnego, „oddartego“ bytowania poza sferą prawdziwych, najpoważniejszych zadań życiowych, wkuwa ją w miazgę codzienności, podciągniętej teraz pod kategorję metafizycznego patosu, ona bowiem jest jedynym materjałem do realizacji człowieczeństwa; Brzozowski napawa poczuciem „dziejowości“, t. j. wzniosłem a niewolącem poczuciem ścisłej solidarności z procesem cywilizacyjnym. Takiej samej zaś, p o l i t y c z n e j w najszerszem i najprostszem tego słowa znaczeniu, postawy ducha domaga się i treść jej wypracowuje nacjonalizm: Wasilewski okazuje, w jaki to sposób osobowość odnajduje warunki swego rozrostu i rozwoju, rozpinając się na objektywnej strukturze życia narodowego, w jaki sposób przemieniając cele narodowego organizmu w swoje własne cele tworzy się kulturalny człowiek — i naodwrót, jak z wysoko kulturalnego życia osobistego wyłania się ideał narodowy. Zarówno tu, jak i u Brzozowskiego widzimy wspólną jedną intencję podstawową: życiu osobistemu nadaje się „pion“, wagę, kasuje się nieodwołalnie wszelakie pretensje bezproduktywnego marzycielstwa, przez włączenie się w system objektywny, niezależny od wszelakiego, kapryśnego widzimisię, system życia dziejowego. To podobieństwo i inne możnaby szerzej i precyzyjniej wykazać.

W innem znowu znaczeniu „objektywizm“, będzie podstawą podobieństwa pomiędzy „endekami“ a Irzykowskim. On się myli, jeżeli w jednem miejscu książki swej „C z y n i S ł o w o“[1]) przypuszcza, iż do nacjonalizmu polskiego przynależy jakaś fanatyczna i fantastyczna ideologja rasowości *à l'allemande*, jakiś romantyczno-reakcyjny kult nieomylnych rzekomo prainstynktów rasowych — słowem czysty irracjonalizm. Nie czuję się upoważniony występować niby oficjalny *interprète* programu, a to tembardziej, że do stronnictwa nie należę; ale wiadomo mi, że nacjonalizm polski w swych myślach naczelnych, aczkolwiek wywodzi się, jak każda zresztą ideologja bohaterska, z ostatecznych założeń irracjonalnych, to jednak w nim ten irracjonalny punkt zaczepienia odsu-

[1]) Karol Irzykowski, „Czyn i Słowo“. Głosy sceptyka Lwów 1913, str. 197, w art. „Włażą w swoje korzenie“.

nięty jest głęboko, a takie irracjonalne motywy, jak t. zw. „rasowość“, tradycja i t. p. są o tyle uwzględnione, o ile przysłużyć się mogą jako środki do celu. Cel zaś wyprowadzony jest ściśle racjonalnie. Oto zadanie: Daną jest grupa narodowa, umieszczona na skrzyżowaniu geograficzno-historycznem, szczególnie niebezpiecznem; widzi się wszystko, co grozi jej zmieleniem jej spoistości, w następstwie wyczerpaniem jej żywotności kulturalnej i państwowej, potem zniewoleniem politycznem, potem proletaryzacją socjalną, w końcu zmarnieniem fizycznem (eksterminacją rasową). Oto punkt wyjścia straszliwie konkretny. A z drugiej strony widzi się, oblicza, czuje się w sobie, zasoby naturalne ziemi i zasoby tężyzny rasy, woli do życia, ambicji, odporności. Jak użyć tego — aby uniknać tamtego? Temat zgoła niedwuznaczny...

A stąd już wynika, ściśle logicznie, cały szereg obowiązujących wniosków. Taka postawa nie może być nadmiernie irracjonalną, uprawiać taniego samouwielbienia historycznego i rasowego — „włazić w korzenie“ — bo przecież idzie o faktyczną przyszłość materjału tak namacalnego, jak ludzie, — idzie więc o gibkość w zmaganiach się o byt bardzo zrozumiały. Ideologja nacjonalityczna — to ideologja najswobodniejszej krytyki — skoro idzie o środki — a dogmatyczność celu tak konkretnego nadaje jej realizm, pewną zdrową, ale nie tchórzliwą „przyziemność“ uchwytów. Nie sądzę, aby wszystkie rozstrzągnięcia nacjonalistyczne musiały być identyczne, bo z natury rzeczy różna musi być ocena znaczenia faktów — stąd przypuszczam, że narodowcy mogą znaleźć się nietylko w jednem stronnictwie; nie sądzę też, aby nacjonalizm nasz, wzięty w czasie, przedstawiał się jako kierunek całkiem jednolity; niemniej jednak trzeba przyznać, że umysły, które przeszły przez szkołę tej myśli politycznej, dochodzą częstokroć, zupełnie niezależnie od siebie, do identycznych wyników. Niech dziś pójdzie pogłoska o jakiejś np. ewentualnej wojnie, a już jutro wielu, zupełnie sobie nieznajomych ludzi na całym obszarze Rzplitej, będzie miało całkiem takie samo zdecydowane zdanie: tak albo nie. Tajemnica w tem, że narodowcy, intelektualnie usposobieni, mają jedną wspólną metodę myślenia, ściśle rzeczowego, bezwarunkowo dostosowanego do objektu wyraźnie określonego, jakim jest utrzymanie Polski wbrew wszystkiemu. Ludzie w tej szkole nie wyrobieni, nieraz dziwią się, nie mogą pojąć, czego u djaska taki narodowiec właściwie chce; czy jest np. militarystą, czy pacyfistą i t. p. Ani jedno — ani drugie; i jedno — i drugie; wszystko *ad casum*! To nie jest zachowanie się intelektualnie przystępne. Trzeba dopiero przybrać taką postawę duchową, typowo nowożytną, zorganizować taką ściśle racjonalną gospodarkę wewnętrzną, aby pojąć prostotę tej metody. Instynkty, rozpędy uczuć, nastrojów, symbole, legendy — wszystko to dobre; ale wszystko o tyle — o ile — wszystko w garści. Takie myślenie — jest dobrze uzdolnione do przezierania na wskroś wszelkiego frazesu, pomijania pozorów, wglądania w całą trudność i nieprostolinijność rzeczy. Żadne słowo, najbardziej szumne i popularne ani nie przerazi ani nie zaimponuje, pokazać musi, co znaczy ze względu na żywotność i bezpieczeństwo Polski. Żadna możliwość polityczna nie jest oceniana ze względów estetycznych, poetycznych, czy wogóle jakich tam tromtadrackich. Każda przejść musi przez analizę względów na cel.

Stąd blisko mi przejść do K. Irzykowskiego: frazesowanie, werbalizm, papużenie znajdują w nim bezlitośnego tropiciela i pogromcę. Znamienne jest dla jego surowego, okrutnego chwilami, objektywizmu — w znaczeniu zapytywania stale o właściwy sens mówionego — to wszystko, co powiada on z okazji rewolucji 1905 r. o czynie — „Czynie przez wielkie C“ (l. c. 7). Odziera bezlitośnie z poetycznego uroku myt o czynie, jako niby to wartości samej w sobie, bez względu na swój cel. „Czynów samych w sobie, zawieszonych w powietrzu niema na tym świecie; wszystkie otrzymują sens dopiero przez swą rolę w praktycznem życiu“ (143). Człowiekowi nowożytnemu zależy na zwycięstwie, nie na walce dla walki: „Wszelki czyn jest podejrzanym, gdy się kładzie w nim nacisk na sam fakt czynu, nie na jego treść i cel“ (53), i to, że w szeregach „czynu“ zjawiają się odważni i ofiarni nie stanowi o jego sensie a „pogardą śmierci nie da się ojczyzny wyłudzić“ (55). Historję należy robić z pobudek merytorycznych, czyli dlatego, że właśnie jest coś konkretnego do zrobienia, a nie „gwoli perspektyw, gwoli przewiewności, gwoli nastrojów historycznych“ (71), a wszakżeż w 1905 r. „socjaliści traktowali ostatni upust krwi w Królestwie, jako lekcję poglądową, jako „przegląd sił“, lub „zasiew“, wogóle jako akcję obliczoną (? — pytajnik Irzyk.) na daleką metę”. (*ibid*). Tymczasem czynowi, którego motywacją istotną nie jest cel konkretny, tylko jakiś symbolizm, czynowi „destylowanemu“ grozi, że rychło stanie się krwiożerczy, bo przecież „najobfitszy i najwidoczniejszy symbol zdobywa się na wrogu. „Zabiwszy lub zwyciężywszy“ mamy złudzenie, żeśmy wzrośli o całą siłę pokonanego — jak dziki, co zjada jego serce (53).

Doskonała perspektywa na psychologję pychy! Wogóle w całej tej gloryfikacji Czynu w przeciwieństwie do pracy (organicznej, 56), dostrzega „fałsz duchowy“ (7), pójście po linji najmniejszego oporu, rodzaj ucieczki w rzecz fałszywą, w awanturniczość intelektualnie tanią — przed rzeczą trudniejszą, przed zagadnieniami bardziej skomplikowanemi, przed patosem codziennej pracy: „od czynu wyzwala praca, od pracy czyn“ (60) — i „nietylko słowo ustne lub pisane, lecz także strzał z browninga lub rzucenie bomby mogą być frazesem. A najnieznośniejszem jest blagowanie o nieblagowaniu“ (47). Tutaj Irzykowski — pije do ówczesnej mody na rewolucję w literaturze, szydzi z szermowania na każdem miejscu „tragizmem“ („dostojny bzik tragiczności“), podczas gdy człowiekowi dopiero wtenczas wolno być tragicznym, „kiedy już wyczerpał wszystkie środki nietragiczne“ (42). Literatura upadła „na kolana przed bożkiem rewolucji“, ktokolwiek wątpił o jej celowości, był szykanowany jako niezdolny do Czynu; Irzykowski replikuje: „Łatwo da się pomyśleć, że 300 ludzi powie sobie: w tych warunkach nie chcemy żyć, więc albo — albo i — i nie mogąc porwać za sobą całego narodu, wyszuka sobie jakieś Termopile. Niech to jednak będzie naprawdę ich własną sprawą i niech do tego nie miesza się ani cień chęci upokorzenia narodu“ (72). Irzykowski wytyka „zdumiewające ubóstwo ideowe literatury lat porewolucyjnych“ (78), ośmiesza i sprzeciwia się szermowaniu szyderstwem z powodu rzekomego braku woli do czynu. Jeśli zachodzi rozbrat mię-

dzy postępowaniem, a słowem (wielkiem), to niekoniecznie zawsze praktyka musi być winna, może to słowo zawiniło, podsuwając suggestje fałszywe, niemożliwe do realizacji? A specjalnie już docina Feldmanowi, że on „do absurdu doprowadził licytację w braniu słów na serjo“ (65).

Ja zdaję sobie sprawę, że jest w tem pewna niedyskrecja, cytować nie bez zadowolenia w tem właśnie piśmie, autora, który jakkolwiek tak surowo obchodzi się z ówczesnym „czynem“ P. P. S., to jednak naogół temu obozowi był i jest bez porównania bliższy, niźli narodowo-demokratycznym przeciwnikom rewolucji z r. 1905. Ale jest mi to potrzebne do charakterystyki pisarza, a powtóre — mam jedną aktualność na oku... Można te polemiki złożyć *ad acta*, zwłaszcza, że to, co Irzykowski tropi z taką ironją, nie jest, po nieliteracku rzecz biorąc, czemś niskiem, ale tylko płytkiem intelektualnie, (możnaby nawet, w imię respektu ludzkiego dla ofiar, skrzywić się na zbytnią dezynwolturę autora „Czynu i słowa“ wobec skazańców [2]), możnaby tak, gdyby nie fakt, że tu oto stoimy u początków zjawiska, aż nadto aktualnego – jesteśmy przecież w prehistorji „sanacji“... Irzykowski prowadzi nas do „Kuźni Aureoli“: „Odbywa się teraz kucie aureoli; najlepsze młotki przy tem są czynne — obok dogorywa święty (rewolucje 1905). Od czasu do czasu jednak wstaje, przymierza aureolę do głowy, wykonywa sam kilka uderzeń młoteczkiem i kładzie się dogorywać dalej. Aureola po śmierci ważniejszą jak od życia. Jej złoto może być kiedyś rozmienione i pójść między lud. Ale *suae quisque faber est aureolae*. Tego złota nie można podrobić! Historja bohaterszczyzny nie wyda więcej, niż w nią włożono. Po aureoli poznacie ich“! (45). Jak się w latach późniejszych rozwinęła ta kuźnia!

[2]) L. c. 68: „Pisarze socjalistyczni kłują w oczy „pięknoduchów“ tem, że czyny i śmierć bojowców pozbawione są wdzięku estetycznego“ i t. d. Markowska np. śpiewa, że „*en beau* się nie umiera w scenicznej aureoli, jeno tak ordynarnie zgoła bez sentymentu“ Zaś Irz. docina: „Owszem, owszem proszę Pani, bardzo wiele jest w tem sentymentu, szubienica stała się już oddawna rekwizytem literackim“. —

„Tego złota nie można podrobić“... A jednak eksploatacja tej aureoli, i tej drugiej potem, opłaciła się doskonale! Opłaciła się właśnie dzięki temu, że społeczeństwo chętnie brało za dobro monetę mitologję „Czynu“. Ale czy ten czyn sam siebie nie zlikwidował w pewnym momencie, i nie przeszedł na drogę tych, których niedawno jeszcze za zdrajców ogłaszał i na których wołano austrjackich sądów polowych, i których nawet po swej własnej zmianie frontu nie przestał potępiać, mściwie i haniebnie, — czy, dalej, nie obłożono permanentną wzgardą tych, którzy jedyni wyciągnęli konsekwencje korzystne dla Polski z tego, co *quand même* zdrowe było w pomyśle czynu [3]), — o to wszystko bezkrytyczny, papuzi patrjotyzm, rozlubowany w alegorjach nie pytał! Dość że był „Czyn“... Ale tu, podczas wojny, ciągle jeszcze jesteśmy w atmosferze bądź co bądź podniosłej — bo towarzyszyła temu krew — a krew nie kosztuje tanio. Ona to była podkładem kruszcowym tej emisji „sławy“... Ale jakież dalsze koleje „czynu“?... K. Irzykowski już o tem nie pisze. Czyżby dlatego, że to już historja, nie domagająca się od krytyka wyrafinowania, aż nadto — zwyczajna?...

To, co w tej książce mówi się o czynie (zawiera ona też i wiele dobrej psychologji „prywatnej“, psychologji życia codziennego), — zaliczyć można do filozoficznych prolegomenów do wiedzy o realizmie politycznym.

Ale głównym terenem, na który autor „Czynu i Słowa“ tropi frazes — jest krytyka literacka i literatura piękna.

KAROL LUDWIK KONIŃSKI

[3]) Mam na myśli ich stosunek do Hallera i II. Bryg. Od pierwszej chwili szykanowali tych towarzyszy broni z niepojętą zaciekłością. A przecież czynili to samo, co oni: Bili się za Austrję, a ginęli za Polskę. Nie ustała niechęć nawet po Rarańczy, Huszt, Kaniowie, Murmanie, błękitnej armji. Za co? Przecież jeżeli w naszym czynie był ten sens, aby pod koniec wojny mieć choć garść żołnierza polskiego i rzucić go na szalę, to któż zrealizował to, co was usprawiedliwia? Oni, Haller z II Brygadą. Wyście protestowali tylko protestem — niemym, za drutami obozów. I to był czyn — ale który był czyn mniej symboliczny?

SPOŁECZNO-POLITYCZNE IDEJE SŁOWACKIEGO W DOBIE MISTYCYZMU

(Dokończenie)

Ze spirytualistycznego charakteru nauki genezyjskiej, z założenia, że wszystko dla duchu stworzone jest, a nie dla cielesnego celu, wynika też spirytualistyczny pogląd na zadania państwa. Wszelki przymus wyklucza etyczną kwalifikację czynu, gdy więc państwo jest organizacją przymusu, działa wbrew zasadzie dobrowolności jako postulatu etycznego. Oto charakterystyczny ustęp dotyczący tej sprawy, (Rozm. I, red. 2; Gubr. X, 544 — 545). Mówi Tłómacz Słowa: „Powiedzieć więc możemy, że ile razy materja działa na ducha naszego i wydobywa zeń twórczość, tworczość ta jest podobna, a jednak wręcz przeciwna w pierwiastku świętościom niebieskim, które z ducha idą wprost i na ciało działają.—Helion: Objaśń mi to przykładem. — Tłómacz Słowa: Gdy naród jakiś, zapomniawszy o duchu, formą rządu silną i żelazną chce wycisnąć z ducha ludziego potrzebne cnoty narodowe, lud ów możemy wystawić sobie jako pod prasą i uciśnieniem dobro z siebie płodzący, — nieprawdaż? — Helion: Ku temu celowi dążą wszystkie usiłowania konstytucyjnych narodów.—Tłómacz Słowa: Zasługę więc przed Bogiem ma forma, która cnotę wyciska – nie zaś lud, który prawem skrępowany, złym być nie może. — Helion: Przyznaje. — Tłómacz Słowa: Człowieka więc dobrego w onym narodzie porównalibyśmy do złodzieja, który oto chce wyjść i noc na odbijaniu zamków przepędzić — ale widząc przed oknami stojącą szubienicę i ciągłe patrole chodzące po wszystkich ulicach — o niepodobieństwie kradzieży przekonany, aby uniknął tentacji zamyka się w izbie własnej na kłódkę i klucz oknem wyrzuca, odjąwszy sobie tym spo-

sobem możność popełnienia kradzieży". — W dramacie o Agisie bohater oprzeć chce republikę na cnocie, przywracając dawne prawa Likurga. Ale o środkach, któremi dąży do celu powiedziano w Liście II do ks. A. Czartoryskiego w ten sposób: „ty Agisie nie myśl, że republika zależy na publicznych garnkuchniach, a człowiek ma być jeno niemocą ubóstwa do cnoty przywiedzion". Żadne prawa nie mogą odrodzić dusz, — odrodzenie musi iść z wewnątrz. Z tego punktu widzenia wszelki wogóle ustrój prawny byłby właściwie niepotrzebny. Słowacki nie idzie tak daleko, aby go odrzucał[17]), ale stwierdza jego niemoc i paljatywny tylko charakter. W „fabryce duchu Bożego" miarą wartości jest pomnożenie wartości duchowych. W rozmowie II Helion, pytając mistrza o zdanie w sprawie ustrojów politycznych, podnosi na rzecz ustroju republikańskiego, że w nim „mimo zgiełku ciągłego i niespokojności wewnętrznej zwykło się jawić tylu wielkich ludzi"[18]). Zdaje się, że pochwaliłby dom bez dachu i okien, bo ci, którzy w nim przeżyją, będą to ludzie hartu szczególnego.

Wartość państwowego ustroju określa się tak: ma on być taki, „aby rosnący w piękność duch nie miał żadnej przeszkody". Ta nawskroś spirytualistyczna formuła, rozpatrzona w świetle nauki o państwie, jest jednak niejasna. Można ją rozumieć w sensie liberalnej teorji nieingerencji państwa, albo też w ten sposób, że państwo winno przez pozytywne działanie usuwać przeszkody, stojące w drodze rozwojowi duchowemu; w tym wypadku mieściłaby się w tej formule kwestja socjalna, kwestja wychowania publicznego etc. Wogóle Słowacki w pismach politycznych zajmuje się tylko „złotą wolnością", — już to kazałoby go policzyć między zwolenników skrajnego liberalizmu. — Zabezpieczenie Duchowi Świętemu jego wolnej działalności jest zadaniem polityki, czytamy w adnotacjach Listu do Rembowskiego. — Pomieszczony w Raptularzu wypis z Micheleta zwrócony jest przeciw etatyzmowi. Michelet powiada tu, że opiekuńcze rządy Ludwika XIV-go, wmawiając ciągle w ludzi, że bez pomocy chodzić nie potrafią, oduczyły ich wreszcie sztuki chodzenia. W jednem tylko miejscu — w Rozmowie II — gdzie mowa o jałmużnie, wyraża Słowacki myśl, że jałmużna, jako poniżająca dla biorącego, a służąca często za faryzejski, tanio kupiony płaszczyk cnoty dającemu, powinna być zastąpiona przez wielkie jałmużnictwo narodowe, t. j. zniesienie nędzy przez państwo. Myśl ta jednak nie jest nigdzie bliżej rozwinięta, a nawet podjęta. Właściwie jest ona sprzeczna z tezą o sprawiedliwości Bożej, która dokonuje się poza zasłoną śmierci. Każde zło, które cierpi jednostka, ma swoje źródło w jej rachunku z poprzedniego żywota. Rachunek ten musi spłacić, jeśli nie ma go przenieść znowu poza grób. Miłosierdzie — tak samo jak przymus w ustroju państwa — jest tylko paljatywem; w istocie rzeczy zadanie polega raczej na przyczynienia się do odnowienia duchowego nędzarza, jeśli mu w tem można pomódz, niż na ulżeniu jego nędzy, bo tamto daje skutek trwały, to zaś ogranicza się do krótkiego tylko okresu jednego życia. Tak jak kara śmierci może być potrzebną dla chwilowej ochrony społeczeństwa, ale nie leczy zła radykalnie, bo zbrodniarze niepoprawieni, wygnani przez wrota śmierci, powracają przez wrota narodzin, tak samo złagodzenie nędzy samo przez się jej nie leczy: nędzarze powrócą na świat ponownie nędzarzami, póki w duchu się nie odnowią. Wypalić się muszą i ustąpić złość i zawiść przeciwko szczęśliwszym od siebie, które nie są niczem innem, jak przeniesioną w nowy żywot i odmienne warunki twardą bezserdecznością i chciwością kapitalistów—lichwiarzy. Zdaje się zresztą, że do miłosierdzia społecznego trzebaby zastosować tę samą zasadę, ktora wynika z następującej notatki w Raptularzu: „są niektórzy bez przyjaciół, cierpiący samotnie, a ktorym dał Bóg jedną lub drugą osobę sprawującą urząd bibuły przy papierze; ci, skoro łza zwilgoci oko, zaraz ją wypiją i utrzymują tym sposobem ducha w dziwnej suchości". Wszystko to, co usypia ducha, wstrzymuje postęp genezyjski i „odnawia grzech pierworodny", który, jak to wykłada Helionowi Tłómacz Słowa w Rozmowie I, ma to właśnie hermetyczne znaczenie.

Wartość tedy ustrojów społecznych nie mierzy się owym powszechnym przyziemnym dosytem—ideałem, sformułowanym w zdaniu, „aby każden miał swoją kurę w garnku"; nie będzie tym ideałem „ludzkość bez bohatyrów bez genjuszowych twarzy — bez narodowości żadnej — złożona niby z wielkich zakładów publicznych — rumianej twarzy ludzkość — nakarmiona do syta — pod chorągwiami dymu czarnego, który z industrjalnych kominów wylatuje, w wojsko jedwabników zamieniona" (Rozmowa II). Nie ma to zresztą nic wspólnego z pogardą dla dóbr materjalnych i działalności gospodarczej. Winny one jednak służyć celom ducha. Ekonomja polityczna określona jest jako nauka, „przez którą ruch ducha ludzkiego ma się wyobrazić przez wartości widzialne — z celem uwolnienia ducha z pod ucisku pracy cielesnej" (L. do Remb.). Chwali też kapitały, że umożliwiają duchowi swobodę działania.

Z tych samych spirytualistycznych założeń wynika antypacyfizm Słowackiego. Ruch ducha jest warunkiem jego dzielności i rozwoju. Gdzie jest ruch ducha, tam — jak już wiemy—zlatują się duchy niewcielone, niosące pomoc. W walce, w cierpieniu duch jest poruszony; moment śmierci jest także momentem poruszenia ducha, które często decyduje o jego przyszłem wcieleniu. A sama śmierć jest wszakże tylko „królową masek i powłok, bez żadnej rzeczywistej władzy nad stworzeniem..."; owszem, częstość śmierci przyśpiesza tempo pochodu na genezyjskiej, w górę wiodącej drodze. Duch Mieczysława w „Królu Duchu" patrzy z zaświata na boje Chrobrego, ku którym zlatują się tłumnie duchy zaświatne:

---

17) „Dobrze jest ciałem i formą tak skrępować ludzkość, aby jej duchy złe, wewnątrz będące, nie uszkodziły — ale stokroć lepiej... z poprawionych na wieki Aniołów (t. j. duchów), uczynić porządek, objawiający się formą widzialną" (t. j. ustrojem państwowym). Rozm. III. Gubr. X, str. 192.

18) „Zkąd takie umiłowanie ludzi ku tej formie rządu, która zdaje się ciągle miesza szczęście domowe, dożyć starości rzadko komu pozwala, sławę nawet i wziętość czyni podległą dziennemu ludzi kaprysowi"? Zdaje się, że Słowacki ma tu na myśli starożytne republiki greckie i rzymskie.—Gdzieindziej jednak powiedziano, że ciągła niespokojność w republikach marnuje duchy, zużywające się w ruchu niepotrzebnym i jałowym. Sprzeczne te poglądy godzi taka zapiska w Raptularzu: „Respublika, czyli ciągły ruch — bez idei morduje naród, z ideą, która go podnosi, pokrzepia". — Tamże w innej zapisce przytoczono na korzyść respubliki, że jako forma „lekka", to znaczy luźna, niestężała, pozwala ułożyć się społeczności wedle hierarchji ducha; — dlatego Polska od respubliki powinna była zacząć a na monarchji skończyć, a nie odwrotnie. Do zupełnego stężenia zresztą nigdy dojść nie powinno, gdyż jest ono martwotą; tak zmartwiał Kościół.

Ujrzałem wtenczas straszną tajemnicę,
Że duchy wszystkie lecą tam, gdzie boje,
Gdzie się trzaskają serca i przyłbice,
A z miejsc, gdzie ducha sen ma łoże swoje
Uchodzą,—dziwne w pośmiertnych różnice
Z tymi, co wieczne tu marzą pokoje,
I chcieli by mieć świat—opasły—zdrowy—
Piekielni, z których drwi anioł globowy.
(Rp. V, p. 1 sf. 14).

W Raptularzu zanotowano, że duch ludzki rośnie przez ofiarę, zatem duch, który ofiarował ciało w boju za ojczyznę, większym i piękniejszym powraca. „Dlatego w narodach, gdzie jest czyn ciągły i ciągła ofiara ciał, mnóstwo objawia się wielkich ludzi, — w krajach zaś, jak Holandja, Szwajcarja, Danja, które dla małości swojej nie są wyzywane do walki i czynu, te same duchy zawsze bez żadnego wzrostu wracają... i ludzi wielkich nie obaczysz". A przecież właśnie wielcy ludzie są solą ziemi, przewodnikami postępu genezyjskiego i ustroje państwowe do tego stosować się muszą — „aby rosnący w piękność duch nie miał żadnej przeszkody".

Formuła ta, streszczająca wytyczny postulat ustroju państwowego, wyłożoną być winna—wedle tego cośmy powiedzieli — raczej w sensie liberalnego niekrępowania, niż w sensie opiekuńczego interwencjonalizmu. Wolność jest tonem podstawowym politycznych koncepcyj Słowackiego. W związku z tem stoi ich rys najbardziej charakterystyczny, indywidualizm. Gdyby je sprowadzić do pierwiastka rdzennego, możnaby powiedzieć, że opierają się one na starej teorji umowy Locke'a i Russa — z tą zasadniczą (i przyznajmy, że na korzyść logiki) różnicą, że umowy nie może zawierać nikt za drugiego bez jego wiedzy i zezwolenia, ale każdy z osobna sam za siebie. Na co się ktoś nie zgodzi, to go nie obowiązuje. Stąd płynie zasada jednomyślności przy uchwałach i elekcji, *liberum veto*, zastrzeżenie *„de non praestanda oboedientia"* w *pactach conventach*, konfederacja, która jest osobistem i dobrowolnem zrzeczeniem się czasowem prawa *veta*. Jest to sprowadzenie prawa publicznego do pojęć prawno-prywatnych. Takie też były w rzeczy samej teoretyczne podstawy dawnych doktryn „złotej wolności" [19]).

Ale określenie „indywidualizm" nie mieści w sobie jeszcze pełni cech, charakteryzujących poglądy Słowackiego; jest to indywidualizm swoistego rodzaju. Słowacki ma na myśli wszędzie i zawsze jednostkę czołową, w którą sam się wciela i w której sam się odczuwa; do potrzeb takiej jednostki przystosowuje się cały ustrój społeczny. Ciekawe jest, jak ten rys odbił się bezwiednie w jednem wypowiedzeniu się o nierówności warunków materjalnych: trzeba ją usunąć, bo jest ona ciągłym cierniem w sercu pierwoidących... Ten rys — którego psychologicznej podstawy szukać można w samotniczym egotyzmie, nie jest jednak tylko nastrojem. Tkwi on logicznie w systemie, i tak jak naukę o społecznym ustroju, przenika też i kosmogonję genezyjską. Tak jak tu społeczność, tak tam z genezyjskich założeń wysnuta etyka jest etyką dla duchów wyższych. „Kto twarzy swej ku przyszłości obrócił, chociażby skazę miał i niedoskonałość, wpisan będzie w księgi żywota". Taka tęsknota za doskonałością nie jest oczywiście rysem dusz niższego rzędu. A dusze wyższe sama ta tęsknota rozgrzesza, podobnie jak w nauce Upaniszadów indyjskich bez grzechu jest „doskonały", cokolwiekby uczynił, [20]) jak w „Królu Duchu" ukaranym, ale nie potępionym jest Popiel.

Nowa—zwiastowana przez towianizm—epoka, jest epoką podniesienia dusz na szczebel wyższy. A cała przyszłość, aż po chwilę dopełnienia, będzie historją takich podniesień, na których końcu widnieje istota, która nawet już formę ludzką zezuła, aby oblec się w wyższą — „nadczłowiek". Zwiastują go pierwsze jaskółki — duchy wypatrzyciele, duchy typy — wedle których wzorują się inne, patrząc ku nim miłośnie w genezyjskiem utęsknieniu. A nietylko ludzie, cała przyroda bierze udział w tym chórze i popiera te duchy przewodnie swoją modlitwą. Bo „przez podniesienie jednego ducha, podniesione jest w najdalszych kończynach całe stworzenie". „Gdy lecę w niebo— jaskółka się cieszy"— mówi Dubrawna w „Królu Duchu". Sprawa „nadczłowieka" jest sprawą kosmiczną.

Ta tęsknota za nadczłowiekiem ma niewątpliwie rysy nietzscheańskie. Ma też to samo podłoże psychologiczne. Tylko że w obu wypadkach typ nadczłowieka jest zupełnie odmienny: tam „płowa bestja" — tu Chrystus. Pogląd Nietzschego jest pessymistyczny, nadczłowiek jest wyjątkiem,— pogląd Słowackiego optymistyczny: nadczłowiek jest celem i owocem ewolucji powszechnej. Nietzsche przeszedł też przez ten pogląd, zanim stracił nadzieję... Słowacki doszedł do niego, nadzieję pozyskawszy. Wedle jego nauki „nie sami, ale z całą kulą ziemską wstępujemy w niebiosa", a ewolucja jednostki, której narzędziem jest metempsychoza, zawarunkowana jest społecznie, bo wyższy stopień rozwoju osiągnąć można tylko wychodząc z ogólnie podniesionego poziomu;—niepodobna jak tylko

---

[19]) Zob. Władysław Konopczyński: *„Liberum veto"*. Kraków 1918, zwłaszcza str. 184—206, 261—264, 298—310, 344—356, 366—370. „Nikt też u nas żadnego rządu nie uznaje, jeżeli mu się sam dobrowolnie nie poddał", (z mowy J. Zamoyskiego 18 grudnia 1575 r.)—„...*Omnium unanimi consensu reges apud nos fieri*") (Stany do księcia Maksymiljana 3 listopada 1587). Zasada „nic na nas bez nas", wyrażająca konstytucyjną wolność szlachty wobec króla, wyradza się w zasadę „nic na mnie bezemnie", — *„nihil de me sine me"* (A. St. Radziwiłł: Pamiętniki II).

[20]) Przytoczone wyżej słowa: „...chociażby skazę miał i niedoskonałość, wpisan będzie w księgi żywota" pochodzą z głównej (4-tej) redakcji „Genezis z Ducha". W redakcji pierwszej, w rzucie pierwszym powiedziano dosadniej: „...choć niedoskonały—jest bez grzechu", — w rzucie drugim: „...to grzechu żadnego niema".—„W największym upadku"— mówi Towiański—„można poznać wysoki zaród ducha, jego starszeństwo". — O pokrewieństwie tego poglądu z kultem genjusza w romantyzmie, z nauką gnostyków „o trzech stopniach synowstwa" i t. p., zob. moją „Mistykę Słowackiego" str. 147—153. Nie bez znaczenia jest też wyobrażenie o pokładach duszy. Krasiński wyraźnie odróżnia ducha od duszy, a duszę zalicza narówni z ciałem, tylko do czasowych narzędzi, któremi się duch posługuje. U Słowackiego niema tak wyraźnego rozróżnienia, — słów: duch i dusza, używa on często w tem samem znaczeniu; zapewne sprawy tej nie przemyślał. Ale kiedy mówi o wadach człowieka znakomitego, jako o „tylko empirycznych", albo kiedy uważa myśl za coś związanego tylko z organizacją cielesną, rzecz widoczna, że pewne stany duchowe oddziela od pojęcia ducha czystego, samego w sobie, a właśnie te stany stanowią to, co w przeciwstawieniu do ducha nazwać można duszą, *pneuma* i *psyche* gnostyków, którzy wedle tego, który z tych pierwiastków panuje, wartościują ludzi na pneumatyków i psychików, nie mówiąc już o hylikach, tkwiących całkowicie w materji. Co jest u Słowackiego oryginalne i znamienne, to że ten charakter wyższości nadaje „tęsknota genezyjska", przez co uświęcony zostaje własny typ Słowackiego, którego genealogji szukać trzeba w prometeizmie „romantycznego niepokoju". O tym romantycznym typie duchowym mówi nieraz Słowacki, że był zwiastunem epoki nowej.

o jeden stopień wznieść się nad poziom gromady, stąd solidarność społeczna, stąd zasada etyczna dla wysokich podnoszenia niżej stojących przez dawanie im wzoru, stąd zasada etyczna dla niższych, poszanowania wysokich, uznania hierarchji ducha. Pogląd Nietzschego jest może bliższy prawdy — a hodowla nadczłowieka jest utopją; ale pogląd ten jest bezpłodny. Nadczłowiek-cud, kwiat egzotyczny, kwitnie na pustkowiu bez celu, dla radości jakoby oczu, których niema, albo które się nie liczą. Utopja Słowackiego rodzi słodki owoc poczucia społecznej solidarności, antymaterjalistyczną—ale zarazem antyegalitarną (w sensie zrównania do poziomu najniższego) zasadę prymatu ducha.

Tęsknota za nadczłowiekiem jest też źródłem, lub jednem ze źródeł, tego faktu, że pod tym kątem widzenia spogląda Słowacki na sprawy dnia dzisiejszego, do wyjątków przystosowuje codzienność, antycypuje przyszłość i w ten sposób tworzy utopję... „znajdź najszlachetniejszego, a potem cierpliwy—buduj kraj, w którymby ten święty był szczęśliwy". Tak tedy, gdy zaleca złotą wolność, za przykład podaje, że tylko Polska, rządząca się nią, była tym krajem, w którym gdyby był przyszedł Chrystus, to założywszy swoje *veto* i zawiązawszy konfederacją apostołów, mógłby był aż do tronu dojść, niedoznawszy żadnej przeszkody. *Liberum veto* określa się jako prawo „świętych z ducha zaprzeczeń",—o nieświętych nie pomyślano...

Rozważając psychologiczne podstawy tych politycznych poglądów Słowackiego, być może że jeszcze jeden moment należy wziąć pod uwagę. Bodaj że doszukać się można echa towianistycznej praktyki. Toć „święta rota", skupiona w Kole, miała być zawiązkiem, a więc i modelem organizacji całego narodu. A w Kole przecież nie dyskutowano i nie głosowano. Kto odebrał „czucie" ze sfery duchów, ten objawiał je, a drudzy przystępowali; — w tych warunkach dysputa była wykluczona a jednomyślność rozumiała się sama przez się. Jest to rys mistyczno-religijny [21]). A Mickiewicz mówi w Wykładach, że dawni Polacy uważali obrady sejmowe za akt jakoby religijny, — i w samej rzeczy spotykamy w starych opisach elekcyj jednomyślnością dokonanych powołanie się na operację Ducha Świętego [22]). Wedle tego wzoru wygotowane są też akta konfederacji, zawiązanej przez Słowackiego: „W Imię Trójcy Przenajświętszej... My niżej podpisani, wezwawszy Ducha Świętego postanowiliśmy..."

Słowianom, jako rasie młodszej, przypisywali romantycy bliższy, nie zerwany jeszcze przez wybujanie jednostronne rozumu, stosunek ze światem duchów, zdolność intuicyjnego, w podświadomości poczętego rozumienia, raczej odczuwania, istoty rzeczy. Dlatego to w racjonalizmie oświecenia, przeszczepionym do nas w okresie pseudoklasycyzmu, widzieli romantycy pogwałcenie ducha narodowego przez pierwiastek obcy mu, zachodnio-europejski, w szczególności francuski. Ta idea w mistyce romantycznej doprowadzona została do ostatecznych konsekwencyj. Towianizm ze swą całą „yogą", będącą techniką komunikacyj z zaświatem, przedstawiał się przeto jako owoc słowiańskiego ducha. Z tego ducha miało wyjść odrodzenie i dla innych narodów,—to było jego mesjaniczne posłannictwo. W dziwnej niekonsekwencji — zapewne z potrzeby — do tej roli mesjanicznej przypuszczono i Francję, z której duchem klasycystycznym walczono w Polsce.

Tak tedy zasada jednomyślności jest konsekwencją zasady poznawania przez natchnienie z góry idące. A z zasady jednomyślności płynie *liberum veto*. To pozornie paradoks. Cóż jednak pocznie jednostka, której „czucie" — nieomylne, bo z góry idące — niezgadza się z czuciem drugich? Może tylko zaprzeczyć prawdziwości tamtego czucia,—przeciw „nieświętemu" natchnieniu postawić „święte z ducha zaprzeczenie" — i dla niego zażądać jednomyślnego uznania. Towianizm tej konsekwencji nie wyciągał, gdyż kierownictwo Koła objęło monopol natchnień; wyciągnął ją Słowacki, i, położywszy swoje *veto*, z Koła wystąpił [23]). A zasadę wniósł do swej teorji politycznej.

Polityczne poglądy Słowackiego w dobie mistycyzmu mają zawsze tło mesjaniczne: Polska ma być apostołką narodów, przewodniczką ku epoce nowej.

Idea, którą niesie, jest jej właściwą istotą, realny byt polityczny — to tylko zewnętrzne tej istoty dopełnienie, tylko jej szata. W posłannictwie mesjanicznem leży racja istnienia Polski, bez tego — jako Bogu i narodom niepotrzebna — istniećby nie mogła. A że treścią połannictwa jest nietylko głoszenie nowego porządku społeczno-politycznego, ale przeciwnie raczej — ten porządek ma być tylko narzędziem sprawy wyższej, wynika stąd ten paradoksalny rezultat, że w rzędzie spraw politycznych na pierwszem miejscu staje kosmogoniczna nauka genezyjska i obok niej sprawa poprawy dusz, to jest zagadnienie religijne i zagadnienie moralne. Polityczna w ściślejszem znaczeniu treść programu stoi na trzeciem dopiero miejscu, gra w tym systemie rolę służebną. A tak jak w nauce genezyjskiej wznosi się piramida tworów od kamienia i ślimaka do Świętych Pańskich i człowieka uchrystusowionego, przy zatarciu zupełnem granic między ziemią i niebem, jak w „Samuelu Zborowskim" sprawa harabürdy Zborowskiego sądzona jest wedle modły polskiej palestry w niebiesiech przed Chrystusem, jak scenerja rapsodów „Króla Ducha" zmienia się między światem a zaświatem—tak i myśl polityczna Słowackiego—mistyka ma charakter kosmiczny, owszem ponad-

[21]) „O! jak marni są ci, którzy na dysputę z zimnemi sercami przychodzą. Na dysputę przychodzicie... a ja chciałbym, abyście się wnętrznie odrodzili i w sobie duchem podniesionym wszystko znaleźli". (Rozm. II z H. i H. Gubr. X, 334).

[22]) „...*inspirante Spiritus almi gratia votis voluntatibus affectionibus desideriisque unanimibus nemineque ex nobis cooperante Spiritus ejusdem gratia a votis et voluntatibus unanimibus discrepante*". *(Modus eligendi regis* z roku 1501; tak samo w dekrecie elekcji Zygmunta I.; Konopczyński l. c., 188).

[23]) Interesujące jest, w jakiej formie Słowacki *veto* swoje zakładał i jakie skutki mu przypisuje: „...Przypominam, że jako pierwej tak i teraz *veto* moje nie zdjęte z Koła, trwa na wieczność—a tem samem czyni nieprawnemi i bezskutecznemi wszelkie kroki, które Koło w tymże duchu, łączącym nas z Rosją przedsiębierze" (Gubr. 371).—„Aby zaś prawność jego (t. j. *veta* założonego) nie była zaprzeczoną, powierzam go przyjacielowi mojemu..., który... dobrawszy sobie dwóch świadków, akt niniejszy w same ręce zastępcy mistrza złoży, i zdjąwszy kopją onego, podpisem dwóch świadków stwierdzoną, kopją takową w pewnem miejscu zachowa, i przy zdarzonej okazji w pierwszym grodzie polskim do akt publicznych wniesie i oblatuje" (Gubr. 376).—Widoczna tu jest dążność do naśladowania form staroświeckich a zarazem naiwność w ich pojmowaniu.

kosmiczny... Wszystkiemu przyświeca i nadaje kierunek „atmosferyczny cel globowy“, zamienienie ziemi w słońce. Cel ten będzie osiągnięty, kiedy się duchy do słoneczności podniosą, — za niemi pójdzie całe stworzenie, przemieni się ziemia i morze. Być może wpłynęło na tę naukę „prawo powszechnej analogji“ Fouriera; w zapiskach poety znajdujemy różne jego ślady: zorza północna jest zapowiedzią, że rasy północne pierwsze zdobędą formy samojasne, — brak życia w ludziach, (myśli tu Sł. o skostniałości Kościoła), „ziemię około Rzymu otrupił“.

Rzecz prosta, że w takiej sferze myślowej sprawy ziemskie biorą postać utopij. Społeczno-polityczne poglądy Słowackiego tak daleko odbiegają od warunków realnego życia, tak jawnie są nierealne, że rozbierać je krytycznie jest rzeczą całkiem zbyteczną. Nie wynika jednak z tego, aby wolno je było zbywać wzruszeniem ramion lub obchodzić dyskretnie, jak się obchodzi słabości i dziwactwa znakomitego człowieka. Traktowanie ich samych w sobie, bez związku z całokształtem genezyjskiego na świat poglądu, wygodne, uproszczone zaklasowywanie pod takie wytarte liczmany jak anarchizm, demokratyzm i t.p., zaciemnia raczej istotę rzeczy zamiast ją rozjaśniać. Krytyka naukowa nie wyszła dotąd poza ogólniki[24]). Może i dlatego, że pisma te nie są w żadnym względzie arcydziełami; zalety wyższego rzędu posiada tylko rzecz „O potrzebie idei“. Ale tu nie o to chodzi. Zapoznanie się z tą sferą myśli Słowackiego rzuca światło na jego duchowe oblicze a przytem dopełnia całokształtu tego obrazu świata, jaki daje genezyjska nauka, jakkolwiek pozornie rzecz ta wychodzi poza jej ramy. A nie jest też obojętną dla ducha czasu. Prawda — można powiedzieć, że tak samo jak nauka genezyjska i cały towianizm, te poglądy Słowackiego nie są przecież typowe; niemniej dają one świadectwo o naturze gruntu, na którym się zrodziły. Tego rodzaju zjawiska skrajne, podobnie jak pewne objawy patologiczne, rzucają często niespodziane światło na podświadome, ukryte sprężyny zjawisk normalnych. Rzeczy niewidoczne a ważne wychodzą na jaw w przypadkowych powiększeniach.

Ale czy poza temi wartościami pośredniemi naprawdę nie tkwią już w tych pismach żadne wartości bezpośrednie, wewnętrzne? Czyż niema w nich nic, coby do inwentarza myśli narodowej przyjąć i wcielić można?

Otóż niewątpliwie niejedno. A przedewszystkiem naukę o potrzebie zachowania własnej duchowej rasy, własnej twarzy narodowej; naukę, że w gronie ludów niepotrzebny jest jako odrębny twór państwowy naród, który poza nazwiskiem nie ma nic własnego, nie ma własnej, indywidualnej twarzy, i liczy się tylko jako ilość.

A dalej czyż nie ma i na przyszłość wartości — pomijając wszystkie ekstrawagancje o jednomyślności głosowań, konfederacji i *liberum veto* — ów ton gorącego umiłowania wolności, który stanowi prawdziwie ową „brązową pestkę“ ducha narodowego? Czyż nie jest na wieki mądre i godne trwałej pamięci zdanie, że Polskę trzeba nosić w sobie, to jest czuć się nieoddzielną cząstką narodu, częścią składową jego organizmu, iskrą jego płomienia, piastunem jego ducha i za tego ducha odpowiedzialnym... Wreszcie zasługuje na głębsze rozważenie nauka o potrzebie wystawienia jakiejś idei, jako przewodniczki życia państwowego. Do rzeczy bardzo pięknych i mądrych należą wywody o tem w piśmie „O potrzebie idei“.

Odróżnia tu Słowacki „ideę“ od „ideału“. Idea może mieć charakter materjalny lub duchowy, może być wyższą lub niższą, ale musi być jakaś. Dziś nazwalibyśmy to może programem. Tylko wtedy, gdy naród na jakąś ideę, jakiś polityczny program, czynność każdego obywatela, na jakiemkolwiek polu pracuje, ku jednemu celowi się obraca i na pożytek narodu wychodzi. W przeciwnym razie brak mu spójni, kwitnie bezpłodne partyjnictwo. Tylko dwa narody wedle Słowackiego mają dziś (t. j. za jego czasu) ideę: Anglja i Rosja. Ideą Anglji jest panowanie na morzu, ideą Rosji jest panowanie na ziemi. Francja miała tylko ideał: Napoleona — gdy go nie stało, nie ma idei ani ideału. O Polsce powiada, że miała niegdyś swoją ideę w „złotej wolności“, — dziś zapomniawszy o tej idei własnej, a zapożyczając myśli polityczne od Francuzów, twórczość własną „postawiła pod ideałem kolorowego ułana, który w obozie arystokratycznym ma za myślą porządku, w demokracji zaś głośno na równością cielesną obstaje... A tak kraj dwudziestomiljonowy, przez wyłączność ideału swego, pozbawił się codziennego usiłowania dziewiętnastu, a tylko ku jednemu miljonowi popisowej młodzieży obraca swoje wejrzenie... Taka to bezwładność ogarnąć musi powoli masę narodu, która ciągle ku celom ostatecznym nie jest jako morze przez gwiazdę miesięczną podnoszona... Dlatego to.. nad ideałem ułana — nie zniszczywszy go wcale, owszem świętością go celów podnosząc — postawić tu trzeba wyższą ideę, prawdziwą matkę czynów, któraby... człowiekowi nie hołdując żadnemu, wszystkich podniesionych w kraj jeden zaprowadziła. Idea dopiero wszystkie i rozmaite siły ruchu w narodzie rozwinie... — — w nikim nie złamie sił, natchnień nie wystudzi, cnót nie uczyni bezużytecznemi, ale wszystko to jako w i e l k a d u c h o w a o s o b a będzie obracała w krew jedną i w siłę narodu. — Powtarzam: tak jako Anglja, która rośnie dziś każdym zegarmistrzem i każdym kredytem kupca i każdym majtkiem i każdym ministrem, a człowiekowi żadnemu nie oddaje całkowicie ducha swego, ale idei“.

A ponad tem wszystkiem, słusznem czy niesłusznem, mądrem czy niedorzecznem, stoi jeszcze jedno: wysoki ton duchowy, troska o d u c h a narodu i żar m i ł o ś c i ku niemu. W każdem dziele, poza stroną treściową, nocjonalną, tkwi jeszcze pierwiastek nastrojowy, natury jakoby muzycznej, ton, który działa niezależnie poniekąd od treści — i który budzi pokrewne echo w duszy czytelnika. I w samym tym tonie tkwią już wartości moralne, i — powiedzmy — mądrość polityczna: bo najmocniejszą z kolumn, na których stoją państwa i bez których w proch się rozsypują, jest wiara w naród i miłość dla niego.

JAN GWALBERT PAWLIKOWSKI

[24]) Dotyczy to nietylko właściwych pism politycznych, ale wogóle społeczno-politycznej treści, zawartej w pismach Słowackiego z ostatniego okresu, a przez to samo i strony mesjanicznej jego nauki. Również i książka moja „Mistyka Słowackiego“ całą tę sprawę traktowała tylko pobieżnie; (Rozdz. II, ust. 4: Praca genezyjska w formach gromadnych: narody: Polska.—Rozdz. III, ust. 11. Progressyzm społeczny epoki romantycznej, millenaryzm, mesjanizm): wychodziłem z zapatrywania, że pisma polityczne stoją poza obrębem mistyki.

WYCHOWANIE NARODOWE

JESZCZE O „PACYFIZMIE“ W SZKOLNICTWIE NIEMIECKIEM

(Kilka naocznych spostrzeżeń)

PRZED rokiem odbyłem podróż zagranicę w celu zaznajomienia się z niektóremi nowemi systemami szkolnemi. Byłem i w Niemczech. Przedewszystkiem kilka spostrzeżeń ogólniejszych. Chciałem zajechać, jak dawniej w Berlinie, do hotelu Warszawskiego, okazało się, iż na nowo się przechrzcił na Frankfurcki, gdy przed wojną, jak zauważyłem na niektórych metalowych przedmiotach, nosił miano „Mars“. A więc „pacyfizm“, ale odwracający się od nas. Wyraźną zmianę w nastrojach mogłem zauważyć w odnoszeniu się do mnie kierowników szkół. Gdy przed trzema laty traktowano mię w każdym razie przychylnie i starano się pokazać rzeczy wartościowe, teraz raczej utrudniano i zniechęcano. Nierzadko po godzinnem czekaniu na audjencję u p. dyrektora, dowiadywałem się, że z tych czy owych powodów szkoła jest niedostępna, czasem znów ograniczono się do pokazania samych urządzeń, lub wprowadzano ale na lekcję robót ręcznych, gdzie młodzież zajęta była wycinankami i zostawiano tam przez całą godzinę. Zwłaszcza Lipsk nie taił się ze swą niechęcią wobec przybysza z Poznania. Bywało i inaczej: przyjęcie towarzyskie zależy od manjer i osobistych poglądów kierownictwa.

Ale przypatrzmy się pracy. Już nazewnątrz, czytając napisy i sentencje, zdobiące sale i kurytarze szkół, wyczuć można tendencje współczesnych Niemiec. Przypomina się nie tylko w obrazach, ale wprost w napisach „utracone“ prowincje wschodnie i zachodnie, zamorskie kolonje. W czasie mej wizyty, w jednem z gimnazjów berlińskich kursowała odezwa, zachęcająca do udziału w krajoznawczej wycieczce do „wschodnich prowincyj“, a w programie wymieniono nie tylko Malbork, ale „*Danzig*“ i „*Posen*“. Alpy austrjackie są bardzo częstym celem wycieczek, tem więcej, iż nie obowiązują wzajemne wizy paszportowe.

W skrajnie „postępowej“ szkole prywatnej dra Bertolda Otto, gdzie na lekcji religji łączy dyrektor razem wszystkie wyznania, na średnim stopniu zamiast lekcji historji odbywała się w myśl uchwały młodzieży, ta bowiem decyduje o programie każdej lekcji, lektura książki Grimma p. t. „*Volk ohne Raum*“, gdzie autor dowodzi konieczności rozbicie więzów traktatu wersalskiego, duszących naród pełen życia, zasług...

Bardzo charakterystyczną rozmowę miałem z kierownikiem jednej szkoły powszechnej w Lipsku. Zapewniał mię, iż ogół nauczycielstwa w Niemczech jest nie tylko republikański, lecz pacyfistyczny, on sam, jak większość młodych, jest nie tylko republikański, lecz pacyfistyczny, on sam, jak większość młodych, jest socjalistą. Ubolewał nad losem mniejszości w szowinistycznej Polsce, kręcił głową, gdy mu podałem ogólną statystykę szkół niemieckich w Poznańskiem, a ruskich w okręgu lwowskim, oburzał się na „przeklęty nacjonalizm“, który w traktacie wersalskim narzucił Niemcom taki absurd, jak odłączenie terytorjalne jednej prowincji, wyraził nadzieję, że potogujący się ruch pacyfistyczny w Europie naprawi krzywdy Niemiec i rozwiąże pomyślnie sprawę korytarza gdańskiego, gdyż to jest postulatem ekonomicznym całego świata, a tylko nacjonalizm i szowinizm polsko-francuski tego nie chce widzieć itd. Na moją uwagę, że przecie my mamy prawo domagać się bezpośredniego dostępu do morza, choćby na tym małym skrawku nam przyznanym, z oburzeniem przerwał, że to właśnie jest wyrazem naszego zaślepionego nacjonalizmu, nie chcącego uznać potrzeb całego kulturalnego świata. Czemże ten postępowy socjalista i międzynarodowy pacyfista różni się od hakatystów i hackenkreuzlerów? Chyba tem, że tamci chcą jawnie zrabować, a ten chyłkiem wycyganić z cudzą pomocą.

A znów obrazek z Centralnego Instytutu dla Pedagogiki, instytucji krzewiącej nauki pedagogiczne. Istnieją tam stałe wystawy najnowszych pomocy naukowych. Otóż m. in. widziałem tam mapę, zatytułowaną „*Der deutsche Volks und Kulturboden in Europa*“ (niemiecki obszar narodowy i kulturalny). Zaznaczono tam rozmaitemi odcieniami koloru czerwonego, zaczynając od najjaskrawszego, następujące obszary: 1) niemiecki obszar narodowy, obejmujący prócz Niemiec i krajów alpejskich także cały Śląsk i Prusy Wschodnie, oraz prawie całe Czechy, nadto drobniejsze wysepki; 2) obszar kulturalny obejmuje dalej resztę Czech, Morawy, południowe Węgry, kresowe obszary Jugosławji; 3) obszary, które 100 lat pozostawały pod rządami niemieckiemi, rozciągają się na wszystkie kraje dawnych Austro-Węgier oraz Łotwę; 4) obszar języka dolnoniemieckiego zajmuje Holandję i prawie całą Belgję; 5) obszary na zachodzie odpadłe od Niemiec za czasów reformacji: reszta Belgji i pogranicze Francji, wreszcie 6) wschodni obszar „niemieckiego języka towarzyskiego (*Verkehrssprache*)“ ogarnia całą Polskę, Litwę, Rumunję, Estonję, Ukrainę, Białoruś, aż za Petersburg. Cele mapy chyba jasne, czy pacyfistyczne, śmiem wątpić. Harmonizują z nią mapy kolejowe, na których nie tylko nazwy drukuje się wyłącznie w brzmieniu niemieckiem, pomija nowe koleje zbudowane za polskich czasów, ale bezceremonialnie znaczy dawne, przedwojenne granice. Co więcej. Na mapach, wydanych w roku 1924 napis „*Polen*“ umieszczono w ten sposób, iż pierwsza litera wypada na terenie województwa poznańskiego, na wydaniach z lat późniejszych przesunięto napis tak, że cały znajduje się na wschód od dawnej granicy. Takie mapy widnieją nie tylko w Niemczech, ale zdobią wagony pociągów tranzytowych, przechodzących codziennie przez nasze ziemie. I nasze władze to tolerują, jakby chciały rozszerzyć propagandę niemiecką na „prowincje utracone“. A przecie Prusacy nie przepuścili w dniu 11 listopada zaprzeszłego roku przez Bytom wagonów, udekorowanych biało-czerwonemi chorągiewkami.

Jeszcze coś o rozbrojeniu. Tak, wojska widzi się mało, dużo tylko policji innej niż przedwojenna. Nie widać charakterystycznych opasłych „*Schutzmann*'ów“, wszędzie młodzi, zgrabni, w polowych mundurach policjanci. Jedynie miejsce pikelhauby zajęły czaka o dwu daszkach. A koszary oddano przeróżnym związkom gimnastycznym, gdzie ćwiczy się młodzież obojga płci. Oczywiście ćwiczenia z bronią wchodzą w program, w Jenie, gdzie mały rozmiar miasta łatwiej odkrywa wszelkie poczynania, widziałem całe legjony młodych ludzi z przeróżnych sfer, dążących wie-

czorem, po pracy, do miejskiej strzelnicy. Nie na piwo, bo defilowali czwórkami z karabinem na ramieniu.

A stosunek do mniejszości? Odwiedzałem Serbów łużyckich w Budziszynie i okolicy. Powojenny liberalizm dał im najwięcej, bo oto pozwolono w szkołach na naukę języka ojczystego w 3 godzinach tygodniowo. Zresztą wszystko po niemiecku, nawet nazwiska rodowe urzędowo muszą być niemieckie, słowiańskie są nieoficjalne. Dolne Łużyce, należące do Prus, nawet tych trzech lekcyj nie dostały, nie mówiąc o zgermanizowanych Wendach pod Hamburgiem, którzy przecie mimo utraty języka zachowali świadomość pochodzenia słowiańskiego i do budziszyńskiego Muzeum narodowego przysłali swoje eksponaty. Natomiast wojna przyniosła Łużyczanom niepowetowane straty w innym kierunku. Inteligencja, wysyłana planowo na stracone pozycje, została zdziesiątkowana, pozatem miejsce zmarłego biskupa w Budziszynie zajął Niemiec, zdecydowany germanizator. Dawniej akcję antynarodową prowadził tylko luteranizm, dziś niestety i katolicyzm: duch w seminarjum duchownem uległ zasadniczej zmianie. Pewne oparcie znajdują w pobratymczem państwie Czesko-słowackiem, pragnęliby żywszego kontaktu z Polską, co i dla nas nie byłoby bez znaczenia. Wszak największym i najsławniejszym ich władcą był nasz Bolesław Chrobry, do dziś czczony jako narodowy bohater.

Oto garść spostrzeżeń dorywczych, zebranych w czasie parotygodniowego pobytu, ale przecie dość wymownych. Głębsze studjum odkryłoby więcej szczegółów, lecz i te stanowią wyraźne *memento*. Czy decydujące czynniki zdają sobie z tego sprawę?

LUDWIK JAXA BYKOWSKI

NAUKA I LITERATURA

Z DAWNYCH AKTÓW POLSKICH I ROSYJSKICH

STO kilkadziesiąt lat nauka rosyjska dowodziła, że ziemia wileńska, kowieńska i mińska, tak jak i dawne województwa polskie na obszarze Wołynia, Podola i Ukrainy, to ziemie rdzennie rosyjskie. Nic to, że tym ziemiom, do Rosji „przywróconym", starał się zaborczy rząd odebrać ich polski charakter gwałtem i różnemi ukazami administracyjnemi i skarbowemi, w sferze szkolnictwa i religji, ale fałszom w historycznej przeszłości tych ziem patronowała rosyjska nauka. Dopiero z chwilą niepodległości Polski otwarły się więzienia prawdy, archiwa aktów z czasów przed i porozbiorowych, z epoki powstań, aż do czasów, przed wojną światową, ostatnich.

„Historja powiatu brasławskiego"[1]) to w miniaturze historja Kresów, zmagań się z naporem Rosji, nieporównanie, bezmiernie, i obszarem i swą ludnością, liczniejszej. Z ciemności na światło dzienne wyniósł autor prawdę urzędowych aktów rosyjskich, tajnych, których, gdyby nie życzliwe losy, nigdyby oczy ludzkie nie oglądały. Po wywodach ogólnych pierwszej części dzieła, po ukazaniu miast i wsi powiatu, instytucyj polskich urzędów: marszałków, podkomorzych, starostów, sędziów ziemskich i grodzkich, podane są wykazy majątków dziedzicznych, od 16-go stulecia spisy wojskowe, podpisy szlachty brasławskiej w końcu 18-go stulecia, spisy powstańców w 1831 r. i 1863 roku, i wreszcie dokonywanych, po stłumieniu każdego z powstań, śledztw, zsyłek na Sybir, wyroków śmierci i konfiskat. Źródłem tych wiadomości było dla autora archiwum państwowe w Wilnie, a dalej tragiczne, krwawe i żałobne archiwum kancelarji generał-gubernatora, archiwum Murawjewowskie, w podziale na akta audytorjatu polowego i wileńskiej komisji śledczej, akta nowoaleksandrowskiego wojennego naczelnika i protokuły audytorjatu polowego, akta kancelarji mińskiego gubernatora. Akta mińskiego żandarskiego zarządu. Nie dość na tem, autor, mimo doskonałego poczucia dla wartości historjozoficznych poglądów, trzymał się przedmiotu, w myśl przewidującej zasady pisarskiej Cycerona *„tene rem"*, i ześrodkował zainteresowanie dzieła na historycznych materjałach lokalnych. Materjały te, to archiwa rodzinne, inwentarze dóbr, listy, pamiętniki, posagi panien, inwentarze skarbów, stadnin i śpiżarni, regestra gospodarcze, kroniki klasztorów i cerkwi, a pozatem informacje, zebrane w drodze ankiety, od duchowieństwa, nauczycielstwa, ziemiaństwa, urzędów gminnych powiatu. W ten sposób powstał jednolity, harmonijnie skomponowany obraz polskiego stanu posiadania i siejby kultury, z żywym rezonansem teraźniejszości.

Powiat występuje jako teren „na którym rozgrywały się różnorodne działania wojenne, przez który przechodziły wojska moskiewskie, tatarskie, szwedzkie, rosyjskie, a skutek tych przemarszów był zawsze jeden, — pożoga i zniszczenie". Ale p. Hedemann nie poprzestaje na skrótkach tych dziejów, czy przedstawień społeczeństwa powiat z perspektywy służby dla Polski i „odpolszczania" tegoż społeczeństwa przez Rosję. Do tych momentów było od 16-go stulecia daleko, tymczasem rozrastał się „prześwietny stan rycerski", szlachta, możnowładztwo, rozgrywają się w czasie Reformacji spory Kościoła z innemi wyznaniami, wre życie. Wszystko to, ubarwione trafnemi i charakterystycznemi anegdotami, jawi się wyobraźni czytelnika w swej dosadnej i plastycznej bezpośredniości.

Krytyczne przedstawienie przeszłości nie było rzeczą łatwą, z powodu kontrastów, nasuwających się w opisie zdarzeń i nastrojów. Obok, w erze rozbiorów, bohaterskich ofiar, służalczość, przedajność, zdrada, Targowica. Obok pracy dla potęgi i kultury państwa, pijaństwo, pieniactwo, ciemnota i zdziczenie. Autor nie cofa się przed wypowiedzeniem prawdy, otwarcie, nie owijając w bawełnę, prosto z mostu. Widzi i pokazuje odwrotną stronę medalu faktów i legend. Naprzykład, w przedstawianiu historji „epopei napoleońskiej" zestawia cyfrowo litanje zniszczenia i rabunków, dokonywanych nie przez Moskali, wrogów, ale przez oczekiwane wojska francuskie. Dopiero śladem tej, jak poprzednio Kościuszkowskiej wojny, następują represje ze strony zwycięskiej Rosji, Sybir, konfiskaty dóbr prywatnych na rzecz donacyj dla zasłużonych generałów, i konfiskaty królewszczyzn na fundusze plebanij prawosławnych i kolonizacji żydowskiej, a w dziesiątki lat później na rzecz „reformy uwłaszczeniowej".

Prócz wiadomości o tem, co było, są w nich pożyteczne przesłanki na teraz. I tak ze szczegółowego imiennego sprawozdania o udziale Litwinów w powstaniu listopadowem, widać, że do powstańczych oddziałów partyzanckich najwcześniej i najliczniej garnęli się Polacy ziemi mińskiej i ziemi kowieńskiej, pozostających dziś poza granicami Polski, pod panowaniem Litwy i Sowietów. A dalej, wiadomość, nie niespodziana, że zamieszkali na Litwie żydzi wspomagali najezdnicze wojska rosyjskie dostarczaniem szpiegowskich informacyj, za co zresztą rząd rosyjski po swojemu im się odwdzięczył. Nie brakło szpiegów i zdrajców wśród Polaków, nie mówiąc już o łapczywych na obiecane nagrody pieniężne chłopach, jednak żydzi pomagają do stłumienia powstania jednomyślnie i gremjalnie, a nawet, jak wynika z przytoczonej w książce oferty brasławskiego rabina, oficjalnie.

[1]) Otton Hedemann. „Historja powiatu Brasławskiego". Z przedmową Wacława Gizbert-Studnickiego, dyrektora archiwum państwowego w Wilnie. Wilno 1930 r. Z mapą i 49 ilustracjami. Stron 483. Nakładem Sejmiku Brasławskiego.

Gwałty przy kasacji unji i „nawracaniu“ półtora miljona unitów i łacinników na prawosławie, często z pomocą księży renegatów i karjerowiczów, próżnoby porównywać z prześladowaniami obcej wiary przez ludy barbarzyńców. Rezultaty tych metod przejawiają się dziś w nieproporcjonalnie na wschodnich kresach Polski wielkiej ilości prawosławnych. Z czasem coraz doskonaliły się i potęgowały metody walki z upartą polskością, a udręki ludności znajdują swój pełen grozy wyraz w okresie roku 1863 i rządów gubernatora Murawiewa-Wieszatela.

Najbardziej wartościową cechą książki „Historja powiatu brasławskiego“ jest jej objektywność. Zwięzłość w przytaczaniu korespondencji urzędowej władz rosyjskich, w opowiadaniu epizodów śledztw i procesów, w których procedura bezprawia przechodzi granice absurdu. Ton, nigdy płaczliwy czy melodramatyczny, ale lekki, niby ton sensacyjnej powieści. Jednak nie dla satysfakcji pisarskiej wypowiedział się tu świetny talent uczonego, nie dlatego poniósł on trud przewertowania nieprzeliczonych foljałów. Chciał p. Otton Hedemann, jak mówi w Zakończeniu: „Jeśli trafi ta książka do rąk tych, co są naszą przyszłością, — do młodzieży, — przedewszystkiem batorjańskiej, — niech pamięta ona, jak dużo jest pracy, leżącej odłogiem, niech się zabiera do badań nad przeszłością... Naszym obowiązkiem jest odkażenie naszej przeszłości od miazmatów trujących, — nie tylko we własnych oczach, lecz i całego świata... Jeśli trafi ta książka do rąk „miarodajnych“, do czynników decydujących naszej wileńszczyzny, niech się rozejrzą dokoła, a z pewnością dostrzegą drzemiące możliwości i siły, do których wyciągną swe dłonie pomocne... A nadewszystko, aby trafiła ta książka do rąk polskiego nauczyciela, który z pewnością potrafi czerpać z niej zaprawę do scementowania chwiejnych jeszcze gdzieniegdzie kamieni brasławskich, dziśnieńskich, święciańskich w monolit granitowej państwowości polskiej“.

ANTONI WYSOCKI

NIEZDROWY OBJAW

Jest rzeczą stwierdzoną i bardzo radosną, że nauka polska ostatniej doby, rozwija się w tempie imponującem. Uczeni nasi, sobie często od ust odejmując, nie szczędzą nakładów, gdy chodzi o ich prace i dochodzą do rezultatów bardzo poważnych, czego najjaskrawszym przykładem jest znaczna ilość publikacyj oraz wybitne stanowisko, zajmowane na różnych kongresach międzynarodowych przez przedstawicieli nauki polskiej. Jednakże, obserwując baczniej działalność naszą na polu nauki, nie sposób nie zwrócić uwagi na pewien niezdrowy objaw. Jest nim stanowczo zbyt wielki odsetek prac, wydawanych przez naszych uczonych w językach obcych.

Biorąc pod uwagę choćby tylko pokłosie ostatnich kilku miesięcy minionego roku musimy spostrzec, że wydany niedawno tom VI Rocznika Orjentalistycznego (Lwów — 1929) zawiera poza tytułem i kroniką dwie tylko prace w języku polskim na trzynaście francuskich, angielskich i niemieckich. Toż samo dzieje się w Rocznikach Polskiego Towarzystwa Matematycznego, Pracach Zoologicznych Państwowego Muzeum Przyrodniczego, w „Eosie“ i innych wydawnictwach Towarzystwa Filologów Polskich i t. d. i t. d.

Mimowoli nasuwa się pytanie: jakim celom służyć mają te wydawnictwa? Czy chodzi tu o t. zw. propagandę zagraniczną? Byłoby to naprzykład zrozumiałe w stosunku do „*Slavia Occidentalis*“ czy do „*History of Polish Pomerania*“ prof. K. Tymienieckiego, ależ większość perjodyków i publikacyj, o których mowa, nosi charakter wyłącznie naukowy, a nie propagandowy. Nie można nazwać tego dążeniem do podniesienia autorytetu nauki polskiej zagranicą, bo w tym wypadku decydującą rolę odgrywa nie język, w jakim pewne prace zostają wydane, lecz ich wartość naukowa. Zresztą można zawsze do każdego wydawnictwa dodawać krótkie „*résumé*“ w którymś z języków międzynarodowych, a przy rzeczywistej wartości pracy znaleźć dla niej tłumacza i wydawcę nawet zagranicą.

Jak wiadomo, każda praca naukowa, poza celem czysto naukowym, ma niemniej ważny pedagogiczny. Poza potrzebami uczonego uwzględniać powinna istnienie studenta czy choćby inteligentniejszego „inteligenta“, interesującego się pewnemi zagadnieniami i pragnącego poznać je bliżej. Ze względu na to, że wiele działów nauki od niedawna dopiero zaczęli badać i opracowywać uczeni polscy, ktoś, przystępujący do studjów w pewnym kierunku, staje wobec konieczności posługiwania się wyłącznie obcemi źródłami. Studentowi okoliczność ta utrudnia znacznie pracę, zmuszając go do studjowania poza obraną przez siebie gałęzią wiedzy równocześnie paru języków obcych, „inteligenta“ bardzo często odstrasza wogóle od poważniejszej pracy umysłowej. Można sobie łatwo wyobrazić radość, z jaką ludzie ci witają każdą pracę, pojawiającą się w języku polskim i... zniechęcenie, kiedy dzieła uczonych polskich stają się źródłami obcemi.

W związku z powyższem zrozumiałą staje się kwestja, dlaczego te czasopisma naukowe wiodą tak suchotniczy żywot i dlaczego wydawane „z zasiłkiem Ministerstwa W. R. i O. P.“ prace w językach obcych skazane są zgóry na deficyt.

Wreszcie trzeci — bodaj czy nie najważniejszy — argument, przemawiający za koniecznością publikowania dzieł uczonych naszych w języku polskim. Jest nim swojego rodzaju lekceważenie, z jakiem reprezentanci nauki zagranicznej muszą patrzeć na ludzi, wydających swe prace jakgdyby tylko na pokaz, dla popisania się przed Europą i innemi częściami świata, bez uwzględniania przedewszystkiem potrzeb własnej ojczyzny. Dzieła uczonych angielskich, francuskich, niemieckich cieszą się uznaniem całego cywilizowanego świata, a przecież żadnemu z nich nie przyszło do głowy ogłaszać ich w obcych językach, samą propozycję czegoś podobnego uważaliby za obrazę ambicji narodowej. Nasi uczeni nie zdają się tego rozumieć.

BEJ

RUCH WYDAWNICZY

Bardzo pożyteczny podręcznik wydał Główny Urząd statystyczny Rzplitej Polskiej w postaci „Małego rocznika statystycznego“. Wyszedł właśnie rocznik I. na r. 1930. Format dogodny, kieszeniowy. Cena tylko 2.40 zł.. Na 172 stronach zmieszczono w przejrzystych tabelkach wszystko, co trzeba wiedzieć o Polsce, jako obszarze geogr., o ludności, o państwie, stosunkach gospodarczych i urządzeniach kulturalnych. Dokładny skorowidz ułatwia znalezienie każdej cyfry. Wartość edukacyjną podręcznika powiększają zestawienia z odpowiedniemi pozycjami państw cywilizowanych.

*

Ukazał się ponownie w przekładzie „Kodeks społeczny, zarys katolickiej syntezy społecznej“. Kodeks ten opracował międzyn. Związek badań społecznych, zorganizowany przez kardynała Merciera. „Postanowienia zawarte w Kodeksie Społecznym — czytamy w przedmowie — nacechowane są jedną wspólną doktryną, która je przenika: mianowicie obok chrześcijańskich idej sprawiedliwości i miłości bliźniego, przebija w nich troska o utrzymanie dyscypliny jednostek i narodów z pomocą instytucyj społecznych raczej, niż przez bezpośrednie i przymusowe działanie władzy politycznej, — bez uszczerbku dla inicjatywy osobistej i z pozostawieniem należytej roli Państwu“. Zatem uznane zostały jako odrębne i godne uwzględnienia na zasadach harmonji wzajemnej prawa jednostki, społeczeństwa i państwa.

Specjalną uwagę poświęcono prawom rodziny, tej istotnej, żywej komórki organizmu społecznego. Kodeks zajmuje się w swych artykułach: ochroną i wywyższeniem rodziny, ochroną jej praw materjalnych, nakazuje szacunek dla dziedziczenia, proponuje wreszcie dla rodziny odrębne prawa wyborcze (pluralność głosów dla ojca rodziny).

Zastanawiając się nad zagadnieniem władzy państwowej, autorowie Kodeksu dochodzą m. i. do wniosków następujących: „Prawowitość władzy nie wiąże się opatrznościo-

wo z żadną formą rządu, to też niema monarchji z prawa Bożego, jak również niema arystokracji, ani demokracji z prawa Bożego". „Jedynie nieznośna tyranja, albo jawne gwałcenie zasadniczych i najoczywistszych praw obywateli uprawniają bunt, po wyczerpaaniu jednak wszystkich innych środków naprawy". „O ile jakie prawo wyraźnie nakazuje czyny lub zaniechania sprzeczne bądź z prawem przyrodzonem, bądź z pozytywnem prawem Bożem — to wówczas każdy winien posłuszeństwo raczej Bogu niźli ludziom".

„Państwo podlega temu samemu prawu moralnemu i tym samym normom sprawiedliwości co i jednostka. W sferze stosunków z podobnemi sobie społecznościami, czyli z innemi państwami obowiązuje je poszanowanie tego prawa i tych norm". W zakresie organizacyj klasowych: „Organizacja klasy opiera się na podstawach słusznych, gdy podporządkowuje się interesom ogólnym kraju, gdy postępuje jak przystało na cząstkę składową szerszej organizacji — społeczeństwa i gdy dąży do zgody z innemi klasami". „Szczegółowe cele klasowe nie zajmują najwyższego miejsca w przyrodzonej hierarchji celów społecznych".

Jest godne podziwu, jak zbliżoną jest następująca teza do czołowego hasła Obozu Narodowego, walczącego o prawa narodu polskiego, jako gospodarza w państwie polskiem: „Władza centralna nie powinna w żadnym wypadku postępować tak, jak gdyby ona sama była państwem,—jest niem bowiem naród zorganizowany, ze wszystkiemi siłami żywotnemi, jakie się nań składają".

Zastanawiające jest podobieństwo zasad ogólnych Kodeksu i programu Stronnictwa Narodowego: dążenie do harmonji, pokoju społecznego, równowagi praw jednostki i państwa, uznanie ważności instytucji rodziny, są tu wspólne i wskazują, że przodownicy Obozu Narodowego opierają się w swym światopoglądzie na podstawach kultury rzymskiej i katolickiej.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Colette należy napewno do najbardziej zdolnych powieściopisarek francuskich. Talent oryginalny tej autorki polega przedewszystkiem na jej spontaniczności uczuć i wrażeń, jakie przelewa na papier. Colette nie szuka łatwych efektów, ani sztucznych asocjacyj myśli. Przeciwnie, dominującą u niej nutą jest szczerość. Dlatego szereg jej powieści, odnoszących się do przeżyć osobistych, posiada tyle nieprzepartego uroku. Znajdujemy go właśnie w jej ostatniej książce *„Sido" (Ferenczi édit.)*. Jest ona niemal wyłącznie poświęcona wspomnieniom rodzinnym, a przedewszystkiem wspomnieniom jej matki, którą jest właśnie owa *„Sido"*. Colette z niezrównanym wdziękiem opisuje nam ją w roli pani domu, skrzętnej gosposi, matki, wreszcie kłopoczącej się o swoich czworo „dzikusów", w osobach samej Colette, jej siostry i braci. Ulubionem jednak królestwem Sido jest jej ogród i wogóle cała natura. To zamiłowanie do niej przekazała ona zresztą samej Colette, bo zamiłowanie do pisania odziedziczyła po swoim ojcu, starym żołnierzu, który na polu bitwy postradał nogę. To częściowe kalectwo nie przeszkadza mu być wesołym, ale pod tą wesołością kryje się często dużo melancholji. Znajdujemy ją również i w rozlicznych utworach Colette, która z pietyzmem i talentem odmalowuje pełne życia i prostoty sylwetki swoich rodziców.

*

Claude Farrère w ostatnim swoim utworze *„Loti" (Flammarion édit.)* oddaje wzruszający hołd temu wielkiemu mistrzowi pióra, który był równocześnie i jego przełożonym jako komendant statku *„Vautour"*. Jeden z ciekawych rozdziałów tej książki opisuje przybycie Loti'ego do Konstantynopola w 1913 r. Tam to razem z Claude Farrère spacerują po ulicach Stambułu, zatrzymując się dla wypicia czarnej kawy, lub pociągnięcia „nargileh". Mijają potem lata, a z niemi kataklizm dziejowy, a potem zgliszcza pobojowisk. Przychodzi rok 1921. Loti przebywa w swoim domu w Rochefort. Na zewnątrz nic go nie odróżnia od innych domostw prowincjonalnych. Ale, gdy się przestąpiło jego próg, pisze Claude Farrère, człowiekowi zdawało się, iż był przeniesiony do innych wieków. Tu spostrzegał bowiem wspaniałe meble z epoki Ludwika XI i Franciszka I, dalej budziła jego ciekawość bogata dekoracja chińska, a wreszcie pamiętna dekoracja meczetu, na wzór tego, jaki znajduje się w Damaszku. Tam to Claude Farrère. w półmroku tajemniczego meczetu, widział po raz ostatni Loti'ego o twarzy bladej, wychudłej, znękanej: jest on bowiem na pół sparaliżowany. Wierny uczuciom całej swojej przeszłości, Loti znajduje jeszcze dostateczne siły, by wymóc na Claude Farrère obietnicę, iż będzie bronił sprawy poszkodowanej Turcji. Będzie to ostatnie wezwanie i wzruszające pożegnanie zarazem przyjaciela i mistrza.

*

Nicolas Ségur, autor *„Elle et Lui à Venise"* w którym opisał nam przygody miłosne Georges Sand i Musset'a w Wenecji, wydaje obecnie opowieść aktualną, o pewnem podłożu filozoficznem, nosi ona tytuł *„Le Paradis des Hommes" (Albin Michel édit.)*. W 1947 r. wybucha straszliwa wojna o naftę. Trwa ona już od lat czterech, szerząc zniszczenie i pożogę. Zbolała ludzkość, a przedewszystkiem kobiety modlą się coraz gorliwiej, oczekując zbawienia tylko od jakiegoś cudu. Cud ten spełnia się. Bóg poprzez usta skromnej i słodkiej istoty, jaką jest Marie Fleriot, obiecuje człowieczeństwu szczęście i nieśmiertelność. Wojna zatem ustaje, albowiem walczących opuszcza duch wojenny. Będą oni zatem pędzić egzystencję spokojną, bez żadnych przewrotów. Stanie się ona też szarą, tak pozbawioną wszelkich porywów i czynu, że tej pseudo szczęśliwej ludzkości zagraża nowa plaga, a jest nią wielka, potworna, niczem nieprzyzwyciężona: nuda! Ludzie zaczynają wzdychać i tęsknić za dawnemi „dobremi czasami", kiedy ciężkie przeżycia, a nawet cierpienia nadawały ich egzystencji jakąś wartość. Wówczas znowuż za pośrednictwem tejże Marie Fleriot zwracają się do Boga. Ten zaś w niezmierzonej swojej dobroci wysłuchuje ją i życie powraca do dawnego trybu, pełnego niepewności i niepokoju. Jednakowoż człowiek po tej nowej próbie stał się lepszym. Pozatem zaś odebrano mu możność posługiwania się pewnemi wielkimi wynalazkami, a mianowicie pozbawiono go broni palnej i sztucznych ptaków w postaci armji powietrznych. Autor zatem wykazuje poniekąd, iż człowiek powinien raczej duchowo udoskonalać się, w ewolucji wewnętrznej dokonywać postępy, a mniej gonić za materjalnemi, które otwierają nowe horyzonty, ale szczęścia nie przynoszą.

SZTUKI PLASTYCZNE

PRAARTYSTA

FALA nowych ludzi z warstw oddolnych, ludzi pod względem kultury surowych, zalała w ostatnich czasach sztukę w Polsce — narówni, zresztą, z innemi dziedzinami życia społecznego. Niewyrobiony i naiwny, a pełen uroszczeń żywioł duchowych Nowobogackich dostał się odrazu w kolisko czyhających nań wpływów żydowskich, mianowicie — liberalizmu, socjalizmu, masonerji i, bezpośrednio, literackich sfer kryptożydowskich. A dostał się tu zwabiony suto i efektownie zastawionym stołem pochlebstw, podniet i obietnic, których łaskotliwym zapachom oprzeć się nie umiał.

Najczulszym nerwem duchowego podniebienia Dorobkiewiczów jest, jak wiadomo, tajona ambicja niedziedziczenia niczego po nikim, co w ich poczuciu wykłada się jako niezawdzięczanie niczego nikomu. Bardzo dobra w codziennem życiu praktycznem, bardzo ordynarna w płaszczyźnie ducha ale, jako surowiec, naogół wartościowa ambicja. Niestety, wpływy żydowskie wykorzystały ją dla swoich celów politycznych w ten sposób, że wyolbrzymiły ją do rozmiarów potwornych, wykoszlawiły do kształtów karykaturalnych, i nastawiły wręcz przeciw tradycji, historji i całej przeszłości narodowej.

Zepsuty w takiej szkole skromny pracownik wpada w próżność osobistą i w nienawiść wszystkiego, co mogłoby za dar wieków być w nim poczytane. Zatem z furją fanatycznego nowowiercy doczepia sobie nowoszlacheckie przydomki: Bezwczoraj-Nowobogacki i Znagła-Dorobkiewicz, jako że w jego mniemaniu wszystko w nim od niego samego się rozpoczyna, a stan zawdzięczania i uczucie wdzięczności — te cechy królewskie — w jego rozwścieczonej chamskości godne są pogardy. Na tak prostackiem tle psychologicznem pająki żydowskie rozsnuły sieci teoryj o nic nie wartym „passeizmie", czyli o sztuce dotychczasowej, i o wspaniałym „futuryzmie", czyli o sztuce przyszłości. Zaplątane w tych sieciach musie umysły od szeregu lat jedno wkółko bzykają — „dziś — dziś — dziś", co ma być magicznym zgonem dla „wczoraj" i czarodziejskim siewem na „jutro".

Biedni Nowobogaccy nie podejrzewają, jak wielkiej na nich dokonano grabieży. Odcięto ich od ich własnej życiodajnej gleby — od przeszłości, a wzamian z honorami posadzono na kamienistej pustyni — na dzisiejszości. Tym sposobem skazano ich na bezlistność, bezkwietność, bezowocność i bezpłodność. Prażeni rozpaloną próżnością, dźgani ożogami pychy, rozsierdzeni żagwiami ambicji przeklinają przeszłość, wysilają się na tworzenie świata odnowa i usychają zamłodu. W samych sobie starannie zasypują każde źródełko, które jeszcze z soków nieumarłych, albo ze dżdżu chmur przelotnych chce się w ich duszach narodzić..., bo to z przeszłości idzie. Każdy odruch głębszy gnębią w sobie w obłędzie samobójczym.., bo to przemówić chce przez nich nie artysta dzisiejszy, ale wyklęty praartysta. Tak dokonywa się trzebież zagajników sztuki w pokoleniu obecnem.

Zaciekłość, z jaką teorje żydowskie pustoszą dusze nowego, surowego jeszcze zastępu artystów, w całej rozciągłości zrozumiemy wtedy dopiero, gdy uprzytomnimy sobie, że owym wyklętym praartystą jest naród, to znaczy — każdy, każdy naród na ziemi (oprócz żydowskiego). Niczem nie da się zmierzyć, z żadną złością nie da się porównać nienawiść żydów do wszystkich narodów świata. Cały Zakon mojżeszowy roi się od nakazów, nauk, wskazań i wersetów przygodnych, utrzymujących żydowstwo w pogardzie i nienawiści względem wszystkich narodów, które ono gdziekolwiek i kiedykolwiek na drodze swojej napotka. Od tysięcy lat aż po dzień dzisiejszy nakazy te i nauki stale uzupełniane, obecnie przeszły w stan zaczepny w postaci bezpośrednich zaszczepiań w każdym narodzie idej i czynników rozkładowych. Szczepionką taką jest, między innemi, teorja wyzwolenia sztuki z pod wpływów przeszłości narodowej.

Gdyby szczepionka przyjęła się, skutki jej byłyby podwójnie doniosłe. Zniszczyłaby, popierwsze, plastyczną i uczuciową pamięć danego społeczeństwa o istnieniu jego narodu w przeszłości, co miałoby również wpływ swój i w pozaartystycznych dziedzinach życia. A podrugie, zniweczyłaby siły twórcze pokoleń obecnych i następnych — naprzód w zakresie sztuki, a dalej — w całej kulturze umysłowej i moralnej. W zamiarach tych, jak widzimy, wysoko oceniono wartość tradycji i historji narodu, jako praartysty, którego nieobecność w pamięci i kulcie pokoleń współczesnych powoduje zastój ducha, zgorzel twórczości i w końcu nieuchronny zgon. Teraźniejszość w zamiarach tych pojęta jest słusznie, jako tak maleńka cząstka przeszłości, że sama z siebie nie zdoła wyhodować przyszłości. Tylko w niemowlęctwie można być niemowlęciem.

Zbiorowy, w ogromnych miarach czasu i przestrzeni żyjący praartysta — naród spełnia dla dobra sztuki trzy przebogate czynności: 1. Tworzy biologicznie każdego poszczególnego artystę, obdarzając go ukształtowanemi przez wieki siłami i zdolnościami twórczemi, co mowa ludzka symbolizuje we zwrocie „artysta urodzony". 2. Żyje w artyście pod postacią nieogarnionych złóż mowy, barw, kształtów, dźwięków, ruchów, wyobrażeń, upodobań, nastawień, dążeń i wszelkich wogóle gotowych zasobów fizycznych i duchowych, bez których jednostka spada na poziom człowieka pierwotnego. 3. Dostarcza artyście rodzimego tworzywa żywych postaci, zdarzeń, zwyczajów, otoczenia, ubiorów, budowli, prac i tak dalej, dostarcza w tak nieprzebranej ilości i różnorodności, że nie jeden, lecz tysiące artystów nie zdołają kopalni tej na dzieła sztuki przetworzyć. Niewymierny splot tego daru potrójnego przebywa w przeszłości każdego narodu nietylko w życiu bezpośredniem, ale i w dziełach sztuki minionych, które ze swej strony także, jako wtórne i syntetyczne życie twórcze na każde pokolenie dobroczynnie działają. Sztuka ma również swój bieg i swoją dynamikę, bez czego człowiek byłby w niej na wieczne poczynanie skazany.

Gdy na arenę dziejów wstępuje warstwa narodu świeża, surowa, jeszcze kulturą nieociosana, pierwszym jej dla własnego dobra obowiązkiem jest zapoznanie się z przeszłością narodu, którego jest, lub chce być nowym konarem. Swoistość jej i świeżość nie straci nic w takiej szkole, przeciwnie — zyska, bowiem nie na bezwiedzy polega świeżość i swoistość, lecz na odrębnem spojrzeniu na wiedzę. Samo zaś życie bieżące, bez powiązania go z przeszłością, staje się tylko cienkiem pasmem przekroju wpoprzek życia, pasmem w zawiłości swej nierozwikłanem, niezrozumiałem, wprost bezsensownem. Można z całą pewnością zaręczyć, że nielogiczność, bezsens i beztreść, któremi szczyci się „nowa" sztuka dzisiejsza, stąd właśnie pochodzą, że ona programowo widzi tylko teraźniejszy przekrój życia, czyli strzęp z tysiąca strzępów złożony i w dwuwymiarowej przestrzeni przedstawiony. Wyobraźmy sobie, że ze środka matejkowskiej „Bitwy pod Grunwaldem" od ramy do ramy wykrajano poziomy pasek szerokości jednego milimetra. Co z tego paska odczytamy? Tyleż i w życiu odczyta sztuka odcięta od praartysty.

Ograniczenie się przeto sztuki do środowiska i czasu, w których ona żyje, także nie zwalnia artysty od związku z przeszłością. Jeśli nie wchodzi do jego dzieł ta przeszłość tematycznie, to uczestniczy w nich jako szkoła, jako synteza w widzeniu, jako dyscyplina zawodowa, jako bogactwo środków artystycznych w ich sile i wytworności, a nawet jako ich nowość i swoistość, bowiem i dla nich znajomość przeszłości konieczna jest bodaj w charakterze odskoczni i przeciwstawienia. W przeciwnym razie sprawa indywidualności i swoistości artysty lub pokolenia byłaby zdana na ślepy przypadek. Cóżbyśmy powiedzieli o chemiku, któryby gwoli swobodzie swej wznalazczości nie chciał zapoznać się z dotychczasowym chemji dorobkiem? Czy błahszym od uczonego pracownikiem i twórcą jest każdej sztuki artysta? Czy sztuka nie posiada swojej historji? Czy ta historja nie obowiązuje? Nie uczy? Nie zmusza do stąpania przed siebie i wyżej, wciąż wyżej?

Obawiam się, że to tu, że to w tem „wyżej i wyżej" ukrywa się najboleśniejszy odcisk naszych Bezwczoraj-Nowobogackich... Talentem nie dorastają do kostek swojej ambicji, swojej próżności raczej, a że bez talentu nie można iść wyżej, więc nie chcą, by ich do tego zmuszała przeszłość bezlitosna. Dla osobistej wygody, dla osobistej (w oczach bezkrytycznego ogółu) opinji poświęcają prawdę i najżywotniejszą sprawę sztuki, sprawę praartysty. Mało im, że go przemilczają, gdzie mogą, jeszcze go podjudzani przez żydów oszczerczo szkalują, drwiną i złością obrzucają, za martwą mumję podają, która, jakoby, ciężarem swoim postęp hamuje, życie przytłacza, najmłodsze pędy trupim jadem zabija. Tak jednym tchem stoma fałszami gotowi społeczeństwo zatruć, byle sobie przydać znaczenia.

Mniejsza by o nich, o tę garść hałaśliwych artystów i teoretyków sztuki! Życie te plewy odwieje. Gorsze jest to, że ich teorje, w popularnej szacie haseł i drwin szerzone, padają na szerokie, surowe warstwy społeczne, które teraz do głosu dochodzą, i że tu łączą się z odpowiednią działalnością w szkolnictwie, w moralności, w polityce, w życiu społecznem i kulturalnem — łączą się w jeden wszechstronny system rozsadzania kultury, psucia rasy, niszczenia poczucia narodowego. Cała ta sfora artystyczna, na żydowskiej smyczy idąca, rzecz to znamienna, opowiada się za wszelką socjalmiędzynarodówką i żeruje na wielkomiejskich tłumach półinteligencji, oraz na górnych sferach robotniczych. Ten jest właściwy cel owej sztuki „nowej", cel czysto polityczny, wyłącznie żydowski. I z tej jeszcze strony zadać cios narodowi, jako praartyście, a tem samem i obecnej w nim twórczości możliwej przyszłość zagrodzić! Pozbawić go mowy górnej, wielkości, siły, samowiedzy! Porwać w nim wszystkie tętnice, które go łączą z bijącem sercem praartysty! A reszty wtedy prędki czas dokona.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

OFENSYWA

BUTA CZERWONEGO BUTA

Gdy się przegląda dzisiejszą socjalistyczną prasę, ziejącą opozycyjnie, wymyślającą na pułkowników, wygrażającą Prystorom, wyszydzającą patentowane Sławy i Sławki, wyciągającą dzień w dzień kompromitujące aktualny rząd kawałki i anegdoty, broniącą poniewczasie parlamentaryzmu i demokracji, burzącą bastjony wielkiej Legendy, urągającą dyktaturze i dychtatorom,.. mimowoli ciągle nasuwa się porównanie o kiwaniu palcem w bucie, no i wogóle przypomina się: but. Dlaczego tak? A to dla tego, że istnieje taki wiersz, taki poemat poety Słobodnika (izraelity), w którym niebacznie, a niejako jasnowidząco ten buntowniczy but wywróżono. Oto bowiem w jednym z numerów „Robotnika“ majowo-wiosennych z r. 1926 czytało się taki pean wojowniczy tego „poety proletarjatu“:

„— Idą! Grzmi pod krokami Warszawa,
Idą zemścić się za swą biedę,
Szwadronami, kompanjami walą,
Walą śpiewem i gniewem i stalą!
Wali stalowa lawa,
Grzmi buntowniczy but:
Marsz na Belweder! Marsz na Belweder!
Za brud, za chłód, za głód!...
Kartaczownice kraczą jak wrony,
Fortecą — każdy dom,
Z okien buchają zdradzieckie gromy,
Bić w dom, bić w dom, jak łom!
Salwami — w okna! Jedna! Siedem!
Salwami suchemi wal!...
Walą pułkami, silni, młodzi,
Naprzód, naprzód marsz!
Przed nami nowa Polska wschodzi!
Zdobędziem ją wichrem szarż!...
Cywilni do bramy! Cywilni do bramy!
Lotnik ulicę bombami pierze!]
Tylko my tu umierać prawo mamy,
Szarego Wodza szarzy żołnierze!...
Marsz na Belweder! Marsz na Belweder!
Hurra! Zdobyty, Dosyć walki!
Podajmy sobie ręce!
Wszyscyśmy bracia, wszyscyśmy bracia,
Bracia w krzyżowej męce!...
Teraz Wodzu Szary!
My, ludzie zbratani z twardym młotem,
My, ludzie oblani krwawym potem,
Czekamy!“

No i czekają.

Trochę to jest Majakowskie, trochę Tuwimosko-Wittlinoskie, ale trochę także zabawne i groteskowe... „Cywilni do bramy“.. „Marsz na Belweder“!... „Szarego Wodza szarzy żołnierze!“... „Bić w dom jak łom“... „Salwami w okna“!... „Grzmi buntowniczy bunt“...

Buntowniczy but to już jest mocna *„licentia poetica“*. Ale „buntowniczy but“, który grzmi to, już stanowczo przesada, która dopiero teraz zaczęła nabierać znamion prawdy i rzeczywistości.

Gdy się dziś czyta te blade groźby, te anemiczne lamentacje, te monotonne indygnacje, te spóźnione rachunki sumienia, te obietnice zemsty ludzi, te krzyki bez rezonansu, te zachrypnięte hańby i precz! mimowoli ciągle przypomina się Słobodnikowy: „grzmi buntowniczy but“...

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Na zjeździe legjonistów w Radomiu mówił p. generał Rydz-Śmigły: „I jeszcze wam coś powiem, także ciekawe odkrycie, bo to są odkrycia: w czasie wojny polskiej Komendant prowadził nas na Dyneburg i na Kijów... Komendant chciał wielkiej Polski, a myśmy maszerowali tam, gdzie On jej szukał. Więc jeśliby komuś w Polsce przyszła ochota kogoś nazywać Obozem Wielkiej Polski, to tylko my możemy nim być“.

Jak wiadomo, Dyneburg nie został włączony do Polski, ale... ofiarowany Łotwie, gdzie obecnie położenie ludności polskiej bynajmniej nie jest godne zazdrości. Kijów, w myśl odezwy Wodza Naczelnego z dnia 25 kwietnia 1920 r., miał zostać oddany przyszłej, niepodległej, nawet nie sfederowanej z Polską, Ukrainie. Polska przez to nie byłaby powiększona. A możeby tak, wobec tych faktów historycznych, odpowiedniejsza byłaby nazwa: Obóz Wielkiej Łotwy i Wielkiej Ukrainy?

*

Jaka epoka, tacy wieszcze. Jaka głębia duszy poety, taka i doniosłość zdarzeń przyszłych, które „wieszcza wypatrzy źrenica“. Czyż nie prorocze było np. natchnienie p. Jana Lechonia, kiedy w utworze „Karmazynowy poemat“, (Warszawa 1920, nakładem Mortkowicza) ujrzał oczami duszy wizję ostatniego zjazdu legjonistów w Radomiu? Zrazu rozpoczyna symbolicznie:

„Czarna Rachel w czerwonym szalu idzie drżąca...

Na końcu zaś, jaka dokładność, jaki ścisły realizm:

„Białe kwiaty padają pod stopy piechocie,
Szeregi za szeregiem! Sztandary! Sztandary!
A On mówić nie może! Mundur na nim szary“

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 12-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Tel. 19-57. Zielna 47. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.